

Baśnie Wiosenne



BAŚNIE WIOSENNE



ALEKSANDER SZCZĘSNY

BAŚNIE WIOSENNE

ILUSTRACYE TRÓJBARWNE Z. PLEWIŃSKIEJ

WARSZAWA — 1914
NAKŁADEM KASY PRZEZORNOŚCI I POMOCY WARSZAWSKICH
POMOCNIKÓW KSIĘGARSKICH — SKŁADY GŁÓWNE: WARSZAWA
GEBETHNER I WOLFF — KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

BAŚNIE WIOSENNE.

Co rok nadchodzi taki czas na świecie, kiedy śnieg i lód zaczynają topnieć na dachach od promieni słońca. Z początku dzieje się to w same południa poto tylko, aby pod wieczór wydłużyły się jeszcze bardziej sople nad oknami. Ale w miarę, jak dnie upływają, słońce coraz częściej i dłużej świeci na niebie, a sople od jego spojrzeń skrzą się i kurczą, jak okapane niezgrabne łojówki. Aż wreszcie pewien poranek zastaje je takie maleńkie, że nie warto się im już przyglądać, gdyż i tak za chwilę znikną.

Wszystko to można dostrzedz przez szyby, podwójnie zakurzone szyby, do których przytuliły się prawie listeczki roślin pokojowych, spragnione światła. Szyby są mętne a listeczki milczące jakieś i blade. Ale poczekajcie no, od czegóż za oknem jest słońce? Sople, które mu uległy, rozlały się teraz na reszcie śniegu, robiąc w nim duże, ciemne dziury; i teraz słońce całą siłą zwróciło się na mętne podwójnie szyby. Czyżby chciało zrobić z niemi to samo, co z śniegiem i lodem?... Co się właściwie będzie teraz działo na świecie? Kocie, duży panie w łaciatem

zimowem futrze, czyś usiadł na oknie, aby zapytać się o to? Coś mówisz, ale nie rozumiem tego i nie wiem, pocoś właściwie odszedł od ciepłego pieca.

Doprawdy, ze zwierzętami trudno się dogadać. Kot siedzi w słońcu, ma maleńkie, senne źrenice i mruczy ciągle jednakowo. Zagadnę więc o to samo listeczki. Ale wtedy znowu jestem niepewny. Bo jakże można zrozumieć zielone rumieńce? Aha, wiem, liście są całe zielone, więc tylko na zielono rumienić się mogą, co znaczy, że kolor ten sam staje się ciemniejszym. Blade liście rzeczywiście ciemnieją, nabierają żywszego, piękniejszego koloru, a z ziemi tuż obok gałązek wyrastają maleńkie trawki. Ja ich przecie nie posiałem w doniczce, to chyba to wszystko sprawia słońce. Ono zniszczyło sople, wywołało kota z pod pieca, zarumieniło liście i dobyło z doniczkowej ziemi nieposiane trawy. Ono, ono powtarzam sobie parę razy zadowolony z domysłu i wtedy dopiero rozumiem, że cały świat teraz to samo mówi. Trzeba go iść posłuchać, to musi być coś bardzo wesołego. Więc wychodzę z domu, kot wygląda też za mną, ale boi się wody kapiącej z dachu, otrząsa łapki i wraca. Ja zato skaczę śmiało przez kałuże. Wszędzie, gdzie tylko okiem rzucę, coś się cieszy, wesoło jest nawet w cieniu, choć tam ukrył się jeszcze bezsilny pociemniały śnieg.

Wiosna jest na świecie. Wiosna, ta uciecha ze słońca, co zwalczyło znowu na długo krótkie, pochmurne dnie zimowe. Na długo, ale nie na zawsze. Zima znów przyjdzie, zasłoni ziemię i otuli drzewa. Widziałem już niejedną i wiem o tem doskonale. Ale kiedy w powietrzu nie będzie słońca, ludzie nie mogą tracić nadziei. Słońce nie przepada, ono tylko próbuje, czy ludzie potrafią myśleć o niem, nie oglądając go codziennie. Myśleć o słońcu, znaczy przecie to samo, co nie zapominać dobra i radości. To mi przyszło do głowy, kiedym stał na wiosennej, rozmokłej ziemi. A ta ziemia cała jakoś szumiała i gadała głosami ściekających wód i rosnących traw o tem, że to nielada praca mieć zawsze dobre, radosne myśli.

Mieć wiosnę w sobie trwalszą, niż ta, co raz do roku się zjawia, powinien każdy człowiek, myślałem dalej. Musi się on tego uczyć, uczyć powoli od dzieciństwa i nie zaniedbać nauki przez całe życie, które wiele zim zobaczy... I wtedy zapragnąłem coś o tej nauce powiedzieć dzieciom, tym małym, wesołym słuchaczom, którzy kiedyś będą dużymi ludźmi. Wiecie jakem tego spróbował?... Wiosenny obłok płynący przez niebo doradził mi doskonale: zacznij im opowiadać bajki; ja sam jestem jak bajka, przypatrz się mnie... Teraz niby okręt z rozpiętymi żaglami, potem zaraz zamek, który prędko zamieni się w górę śniegiem okrytą. Niktby nie mógł mojemu kształtowi na dłużej uwierzyć, a jednak niedługo spadnę na ziemię ożywczym, życiodajnym deszczem, który nie zawiedzie czekających. Tak mi radził obłok wiosenny...

Posłuchajcie więc dzieci paru bajek. Wyobraźcie sobie to, co się w nich dzieje tak, jak wyobrażacie sobie żołnierzy lub marynarzy, zaludniających wasze papierowe okręty. Później, kiedy będziecie starsi, rzeczą waszą stanie się szukać tego wszystkiego w świecie, gdziekolwiek znajdziecie się z myślami waszemi o pięknie i dobroci.

O ZŁYM CZAROWNIKU
I CUDOWNEJ GĘŚLI.



Był kiedyś na świecie niegodziwy czarownik, który wszelkimi sposobami starał się ludziom szkodzić. Nie robił on tego z potrzeby, bo czyż potrzebnem być może robienie komuś źle. Ot, tak sobie, robił to dla zabawy, bo już taką miał niegodziwą naturę. A że był czarownikiem więc znał różne zaklęcia i za ich pomocą zamieniał ludzi w lalki. Co prawda nie można tego było łatwo poznać; ludzie ci wyglądali w dalszym ciągu jak ludzie, chodzili, rozmawiali, tak, że niktby ich od innych nie odróżnił. Ale wystarczyło poprosić o co takiego człowieka, spróbować porozmawiać o poważnych rzeczach, ażeby się przekonać, że niewszystko tam jest w porządku. Zresztą, gdyby kto uważnie na takiego człowieka zdala spojrzał, toby dostrzegł, że rusza się on niby nakręcona lalka i tak tam wszystko na podziwianie przez innych było obliczone, że zaraz chciałoby się słuchać, czy aby w nim nie brzęczą sprężynki. Ale któżby znów tak bardzo się drugim przyglądał. Niektórzy uważali, że to jest pewnie piękna moda i zachowanie się w towarzystwie i starali się nawet naśladować podobne figury.

Mądrzy ludzie, którzy więcej spostrzegają niż inni, kiedy spojrzeli na takiego zaczarowanego, to mówili sobie odrazu ach, jakaż to lala! Ale mówili to tylko sobie, bo przecież trudno komuś otwarcie powiedzieć, że jest lalką. A zresztą zaczarowani byli tak pewni, że są najdoskonalszymi na świecie ludźmi, że trudnoby im było zwracać uwagę, bo mogliby się nie na żarty obrazić. Więc chodzili sobie ludzie-lalki po świecie, i nikt nie mógł na to poradzić. A czarownik mieszkał tymczasem w starem, odludnem domisku za miastem i kogo tylko w lalkę zamienił, zaraz sprawiał sobie maleńką laleczkę, podobną do tego człowieka i trzymał ją u siebie, ucząc ją, jak ma żywy człowiek postępować, aby te nauki przez martwą figurkę przechodziły podczas snu do głowy zaczarowanego i nie pozwoliły mu się po przebudzeniu opamiętać.

Stary, ogromny dom stał zdaleka za miastem i nikt oddawna tam nie zaglądał. Ludzie opowiadali, że w nim straszy i obchodzili zdaleka. I nic dziwnego, bo straszny był to dom... Wysoki, zawsze zamknięty, nie świecił w nocy ani jednem oknem. Wązka, trawą zarośnięta ścieżka wiodła doń od drogi, a ktoby nią poszedł, stawał wreszcie przed maleńkiemi drzwiczkami w wysokim murze. Drzwiczki były żelazne, zardzewiałe, ze straszną głową wilka, jako ozdobą pośrodku. Gdyby kto potrafił te drzwi otworzyć, czego zresztą od dawien dawna nikt nie próbował, to przed oczami odsłoniłby się mały dziedziniec, pełen gruzu i kawałków starych, potłuczonych figur. Figury te stały kiedyś w dużych niszach ścian domu, ale czas, albo jaka zła ręka poobalała je po kolei i teraz leżały zniszczone na ziemi. Dopiero

z dziedzińca było wejście do domu, ale tam już nikt nie wchodził od czasu, jak dom został opuszczony.

Opowiadali sobie ludzie, co tu kiedyś dom oglądali, zanim jeszcze w nim czarownik zamieszkał, że była to siedziba jakiegoś rycerza. Rycerz grał cudnie na białej gęśli, co ją sobie z dalekiej wojaczki przywiózł i tak go wszyscy chwalili, aż wreszcie wyobraził sobie, że nikt grać piękniej od niego nie potrafi. Ale kiedyś podczas wielkiej zabawy przyszedł do starego domu wędrowny grajek i zobaczywszy gęśl, zapłakał. A kiedy go zapytano, coby to znaczyło, opowiedział, że cudowna to jest gęśl, co ludzi uzdrawia i wszelkie moce czarodziejskie niweczy, kiedy na niej zagrać tajemniczą, starodawną pieśń. I dodał ów człowiek, że umiałby tak zagrać na owej gęśli, ale trzebaby mu ją potem oddać nazawsze, bo inaczej tego nie uczyni. Uparł się wtedy rycerz, co nie chciał oddać gęśli, a postanowił sobie poznać pieśń tajemniczą, któraby go ponad innych jeszcze bardziej wywyższyła, a kiedy grajek nie chciał odstąpić od tego co powiedział, kazał go wrzucić do głębokiej studni pod murem dziedzińca. Ale kiedy jego słudzy już to mieli uczynić, zamienił się grajek w jasnego anioła i znikł z ich oczu, a gęśl z hukiem ogromnym zapadła głęboko w studnię, że jej nikt odtąd nietylko wydobyć, ale odnaleźć nie mógł. Było to bardzo dawno i od tego czasu opustoszał dom rycerza. Sam on poszedł na długą pielgrzymkę, aby odkupić swój grzech i nie wrócił. Dom niszczał powoli, aż wreszcie ludzie zaczęli go omijać i opowiadać o nim straszne rzeczy.

Wtedy zamieszkał tam czarownik. Dopóty chodził po świe-

cie i szukał takiego miejsca, gdzieby ludzie nie zaglądali, aż je tutaj znalazł. I mocą swojego czarodziejstwa uczynił pod domem niezgłębione piwnice, gdzie chował to, co ludziom jako skarby podczas zaczarowania zabierał. Były tam i poczciwość i dobroć i kochanie zamknięte, niby więźniowie w niewoli, a czarodziej pilnował je starannie, aby mu się w świat nie wymknęły.

I zaczęło się źle dziać na świecie. Coraz więcej ludzi zaczarowywał zły czarownik i coraz więcej skarbów zamykał w piwnicy, a na ziemi było coraz więcej ludzi oziębłych, złych i próżnych. Nic dziwnego, były to przeważnie lalki, a każda z nich miała skarby swego serca i swoją figurkę w domu czarownika, dopóki by kto ich nie wyzwolił.

Kiedy się to wszystko działo, w pewnej wsi niedaleko miasta urodził się mały chłopiec. Dziecko rosło i niedługo był z niego śliczny chłopaczek z pięknemi nad podziw szafirowemi oczami, w których, jak ludzie mówili, niby cały świat się odbijał.

— Dziecko będzie bardzo mądre; — mówiono matce, — już teraz ciągle ino myśli, a jak się odezwie, to tak, że tylko słuchać trzeba, pilnujcie go, żeby się dobrze uchował. — A chłopiec chował się jakoś zdrowo. Tylko chodził ciągle po polach i lesie i słuchał, jak ptaki śpiewają, albo jak woda mruczy w strumieniu, a potem sobie próbował to powtórzyć swoim głosem.

— Co śpiewasz, synu? — pytała go nieraz matka, gdy wracał na obiad do domu. — Chcę powtórzyć co ptak jeden mądry opowiadał, — mówił chłopiec i śpiewał dalej, a matka patrzyła nań z podziwem. Kiedy chłopiec wychodził na swoje wędrówki,

a matka zabierała się do domowej roboty, mówiła mu często:

— Nie odchodź synu daleko tak, abym cię zawsze mogła przywołać, a nadewszystko nie chodź do starego domu. Złe tam jest i mogłoby cię urzec. —

Ale chłopak zapominał prędko, co matka mówiła, bo stary dom ciągnął go jakoś do siebie. — Żebym ja wiedział, co tam jest w środku, — myślał sobie nieraz, siedząc zdaleka nad rowem pełnym kwiatów i patrzył długo na wysokie zczerniałe mury. Aż kiedyś, kiedy tak dumał, czarownik, co się umiał zamieniać w różne zwierzęta i tak niepostrzeżony kręcił się po świecie, usłyszał, jak to chłopiec na głos mówił. Więc zamienił się zaraz w dużego ptaka i usiadłszy na gruszce, niedaleko chłopca zaśpiewał tak ślicznie i mądrze, że chłopiec nie mógł sobie tego ani rusz powtórzyć. Podszedł chłopak bliżej do drzewa, aby go jeszcze raz posłuchać, a czarownik odleciał trochę dalej i znów zaśpiewał. Ptak coraz dalej odlatywał, a chłopiec szedł za nim, aż wreszcie ptak znikł za murem starego domu, a chłopiec zobaczył, że stoi przed żelazną furtką, co ma wilczą paszczę pośrodku. Ale wilcza paszcza nie była jakoś dzisiaj straszna, uśmiechała się nawet jak mogła i kiwała zardzewiałemi uszami, jakby mówiła: ptak jest tam za drzwiami, trzeba tylko furtkę otworzyć i wejść do środka. Chłopiec mimowoli pchnął furtkę i wszedł, a tam zobaczył, że drzwi do domu stoją otwarte i ptak siedzi w głębi sieni. Zamyślił się wtedy chłopiec, przypomniał sobie co mu mówiła matka i nie wiedział, co zrobić, czy wejść do domu, czy wracać stąd jaknajprędzej. A tu ptak znów zaśpiewał i chłopcu udało się nawet powtórzyć za nim kawałek

śpiewu od początku, więc zachęcony przeszedł dziedziniec i wszedł do ciemnej sieni. Wtem ptak gdzieś odskoczył z okropnym łoskotem skrzydeł, drzwi się zatrzasnęły, a w całym domu rozległ się głośny śmiech czarownika taki straszny, że chłopcu zakręciło się w głowie i upadł na ziemię jak martwy. Kiedy się ocknął i rozejrzał naokoło, zobaczył, że jest w dużym pokoju. Było tam tylko posłanie i nizki obok stoliczek ze smacznem jedzeniem. Ale chłopiec nie tknął jedzenia, tylko siedział zalękniony, bo przecie tem, co się stało, nielada junak by się wystraszył. Powoli chłopiec zaczął się oglądać; trochę otuchy dodało mu to, że wysoko w ścianie było okno a przez nie zaglądał zielony czubek jakiegoś drzewa. Ale w oknie były grube kraty takie, że nawet dorosły nicby im nie poradził. Siedział tak chłopiec aż do zmroku. Myślał sobie o tem, jak go tam teraz szuka matka i smucił się, chociaż nie płakał, bo wiedział, że płaczem nic nie poradzi. Aż wreszcie poczuł głód, więc posilił się tem, co przed nim stało, i zaczął przemyśliwać, jakby się wydostać. Mocne drzwi pokoju były jednak zamknięte, a przez dziurkę od klucza chłopiec nie mógł nic dojrzeć, bo po tamtej stronie było zupełnie ciemno.

A tymczasem noc zapadła. Wtedy chłopiec usiadł na posłaniu, ale nie spał, tylko nadsłuchiwał, bo zdawało mu się, że ktoś nadchodzi... Był to czarownik, który wracał z wędrówki po świecie. Za chwilę w dziurce od klucza zaświeciło się i chłopiec, który myślał z początku, że ktoś do niego wejdzie, powoli zbliżył się do drzwi. Za drzwiami słychać było jakieś głosy i szmery, więc chłopiec ciekawy zajrzał przez dziurkę od klu-

cza i zobaczył coś takiego, że długo nie mógł ode drzwi odejść. Oto zobaczył wielką oświetloną salę, w głębi której stał tron czarownika, zrobiony z główek popsutych lalek, patrzących nieruchomo przed siebie, wytrzeszczonemi szklanemi oczami. Pod ścianami stały całe gromadki lalek, które rozmawiały, jak żywe i poruszały się jak ludzie, a niektóre z nich chodziły po sali zajęte sobą tak, jakby nie widziały czarownika, siedzącego na tronie i patrzącego na nie złym wzrokiem. Lalki zachowywały się tak, jak próżni ludzie, kiedy ich się gdzie dużo zbierze. Więc niektóre pysznie ubrane, zebrały się w gromadkę i obmawiały inne, albo zmawiały się, jakby swoim znajomym zaszkodzić. Inne chodziły, pysząc się swoim ubiorem i oglądając się, czy aby kto je podziwia, a jeszcze inne, rozgniewane czegoś, dawały to odczuć wszystkim, kogo spotkały. Nagle wielki drewniany pajac, stojący za tronem czarownika, zatrąbił i na ten głos wszystkie lalki ustawiły się parami i przeszły przed czarownikiem, kłaniając mu się nizko, a potem wyszły z sali. Chłopiec zauważył, że lalki, chodząc, omijały starannie środek sali, ale nie mógł sobie zupełnie tego wytłumaczyć, dlaczego. Gdy lalki się oddaliły, w sali ściemniło się trochę, czarownik zszedł z tronu, a pajac oparł się o ścianę i zamknął oczy. Wtedy weszło dwóch strasznych murzynów, prowadząc kilka chwiejących się postaci. Postacie były bardzo piękne i widać tutaj przemocą przyprowadzone, co znać było po ich twarzach. Czarownik się do nich przybliżył i kazał otworzyć murzynom ciężkie drzwi w podłodze na środku sali, które chłopiec teraz dopiero zauważył. Na ten widok postacie jękły cicho i nic dziwnego, bo były to: szla-

chetność, dobroć i mądrość pewnego człowieka, którego czarownik dzisiaj zdołał w lalkę zamienić. Drzwi zostały otwarte, a postacie wtrącone w głąb lochu, który się pod spodem znajdował. Wtedy to czarownik zaśmiał się głośno i postawił na ziemi lalkę człowieka, którą z za sukni wyjął, a ta zaraz kłaniając mu się nizko, pobiegła za innemi.

Teraz dopiero zrozumiał chłopiec, bo niedarmo go mądrym nazywano, jak straszne tu się dzieją rzeczy. Te wszystkie lalki to byli przecież ludzie żywi, co tembardziej od czarownika zależeli, że miał on całą ich dawną wartość zamkniętą w strasznym domu. A oni sobie tam chodzili po świecie, nic o tem nie wiedząc, jakby to ich wcale nie obchodziło. Więc chłopiec zaczął się obawiać, aby czarownik nie wszedł do jego pokoju, ale w tej chwili pogasły światła i w sali zrobiło się cicho, tylko z pod podłogi słychać było czasami jęk słaby. To tak skarżyły się uwięzione skarby ludzi żywych.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Sporo upłynęło czasu, od kiedy chłopiec dostał się do zaklętego domu. Matka tymczasem wypłakiwała sobie za nim oczy, ale na myśl jej nie przyszło, że syn jest w niewoli u czarownika. Chłopiec żył zamknięty w pokoju, tęsknił do swobody, ale złego mu się nic nie stało, bo czarownik czekał aż chłopiec wyrośnie, aby dopiero wtedy z nim to samo co z innymi uczynić. Pewnego razu, kiedy czarownika w domu nie było, a chłopiec siedział sobie pod oknem, i patrząc na grube kraty myślał, co u matki słychać, przypomniały mu się niektóre z tych głosów, co je udawał, chcąc ptaki naśladować. Zaczął je więc powta-

rzać... Aż tu, kiedy właśnie powtarza to, co kruk mądry mówił, widzi, że drzwi w pokoju same się otwierają. Przestał chłopiec śpiewać i drzwi znów się zamknęły. Teraz dopiero pomyślał sobie, że w głosie kruczym musiało być kiedyś podsłuchane zaklęcie. Więc chłopiec otworzył sobie niem drzwi i zaczął chodzić po domu, uważając tylko, czy aby czarownik nie wraca.

Ogromne to było domisko. Chłopiec chodził i chodził wszędzie, oglądał ciemne, zniszczone pokoje, gdzie na ścianach wisiały jeszcze stare, zardzewiałe zbroje, a pod niemi na podłodze stały całymi rzędami martwe figurki zaklętych ludzi. Aż wreszcie wyszedł na dziedziniec i już myślał, że otworzy też sobie furtkę na świat. Udał głos kruka, ale furtka jakoś się nie poruszyła. Bo, aby ją otworzyć, trzeba było znać głos wilka, a tego chłopiec nigdy nie słyszał.

Odtąd całymi dniami kiedy czarownika nie było, chłopiec chodził po domu i dziedzińcu. Nudziło mu się siedzieć na miejscu i ciągle myślał, że się jakoś wydostanie. Wreszcie kiedyś zauważył w kącie, pod murem ogrodzenia głęboką studnię. Zajrzał w nią, a tam na dnie lustro wody ciemnej połyska i coś pod nią gra cichutko. Była to właśnie gęśl czarodziejska, która skarżyła się dziecku, że jej nikt dotąd użyć nie potrafił. Długo słuchał chłopiec schylony nad studnią, a tymczasem za murem odezwał się jakiś dziewczęcy śpiew. Chłopiec zawołał, głos mu się odezwał. Wtedy zaczął opowiadać swoje zamknięcie, a dziewczynka, co była małą cyganką z dalekich stron i dlatego tu się zbliżyła, że nie słyszała nic dotąd o strasznym domu, po-

wiedziała, że przyjdzie tu jutro, bo już teraz wieczór zapada, i postara się drzwi otworzyć. Chłopiec wrócił uradowany do domu, a dziewczynka odeszła.

Nadszedł wreszcie dzień następny, czarodziej o świcie znikł, a chłopiec zaraz pobiegł czekać i wołać przed murem, czy mu się dziewczynka odezwie. Już było dobrze popołudniu, kiedy nadeszła i odezwała się, a wtedy dzieci zaczęły po kolei próbować różnych głosów zwierząt i ptaków, bo i cyganka sporo ich umiała, aż którykolwiek z nich drzwi zaklęte otworzy. Nagle dziewczynka zapytała chłopca, czy zna głos wilka. „Widzę tu na bramie jego głowę, więc może ten głos nam co pomoże". Chłopiec go nie znał, ale cyganeczka nieraz wilka słyszała, bo cyganie, nocując po lasach, często przed wilkami uciekać muszą. Udała więc teraz pięknie głos wilka i, o dziwo, furtka się otworzyła. Dzieci się wtedy poznały i bardzo odrazu się spodobały sobie, a kiedy już cyganka poznała całą historyę domu, mówi: „Uciekajmy, dopóki nas jeszcze co złego nie spotkało". Lecz chłopiec, jak wiecie, był odważny, jak mało kto w jego wieku. „Nie możemy tak zostawić więźniów w dużej sali", odpowiedział on na to cygance i dzieci zaczęły razem radzić, jakby podziemia otworzyć. „Musi być na to jaki znak czarodziejski", mówi cyganka, nieraz o nich słyszałam, ale niewiem, jak się je znajduje. W tej chwili chłopcu przypomniała się studnia.

— Jest tu miejsce, gdzie coś ślicznie gra, — powiedział, — może to właśnie ów znak? — I zaprowadził ją do studni, aby posłuchała. — To jest gęśl, — zawołała cyganka, — w naszem plemieniu nieraz sobie o takich instrumentach opowiadają, że miały, one czarodziejską moc; ta jest pewno taką, i można, grając na niej wszystkiego dokazać, ale jak ją dostać?

Stoją dzieci i myślą, a tu czas uchodzi i wieczór się zbliża. — Poczekaj chwilę — mówi wreszcie cyganeczka, — niedaleko stąd widziałam długi sznur, rozciągnięty między drzewami. — Niedługo cyganka wróciła ze sznurem, a chłopiec się nim obwiązuje i prosi, aby go spuszczała powoli. Już jest głęboko, już dostaje ręką wody, a pod nią leży na dnie biała gęśl. Struny dźwięczą cichutko, a chłopiec tak to rozumie: din, dolin! ach gdyby mnie kto stąd zabrał! Niewinne dziecko lub cnotliwy człowiek gdyby na mnie zagrał, zniszczyłabym czary tego złego domu. Teraz chłopiec zrozumiał, że gęśl jest naprawdę niesłychanym skarbem. Chwycił ją więc za długą szyjkę, a cyganeczka wyciąga go powoli na sznurze ze studni.

— Teraz chodźmy do domu — mówi chłopiec i dzieci idą do wielkiej sali. Struny gęśli pobrzękują cichutko, gdy ją dzieci niosą, a na ten głos lalki ożywiają się, choć czarownika niema w domu i idą za niemi. Wreszcie dzieci zatrzymują się przed drzwiami w podłodze. Skarby ludzi żywych jęczą cicho pod niemi, czekają oddawna wybawienia.

Dzieci tężą swoje siły, aby drzwi otworzyć, ale napróżno; czary jakieś trzymają je, jak przybite. Wtedy cyganeczka mówi: Zagrajmy na gęśli, może się same otworzą. Dzieci otwierają drzwi do pokoju chłopca, aby w sali było jaśniej, wnoszą tam gęśl i stawiają ją na nizkim stołeczku, gdzie chłopiec co rano jedzenie zastawał. Cyganeczka grać umie, ale pod jej palcami

gęśl wcale się nie odzywa, widać musi na niej zagrać chłopiec, co sam tak długo tu niewolę cierpiał. A tymczasem chłopiec nie umie obchodzić się ze strunami, po głowie mu się błąka pieśń, która trzeba zagrać, a grać nie potrafi. Więc się uczy od cyganki, jak trzeba palce na strunach kłaść, a tu wieczór zapada, za oknem słychać coraz głośniejszy szum, zrywa się burza i czarownik pewnie już wraca. Drzewo bije swoim czubeczkiem w okno i szumi, jakby wołało: Spieszcie się, spieszcie się, bo wszystko przepadnie! Aż wreszcie chłopiec, zagrał powoli, niewprawnie, ale grał to, o czem myślał: pieśń wybawienia. Czy mu jakie moce dobre pomogły, czy ów anioł, co kiedyś był tutaj, jako grajek wędrowny, stanął teraz niewidzialny koło niego? dość, że zagrał. Wszystkie lalki, co otaczały kołem dzieci, zaczęły tańczyć. Tańczą, tańczą coraz szybciej, a wiatr za oknem szumi i burza coraz się zbliża. Wtem drzwi w wielkiej sali zaczęły się wolno podnosić. Cyganeczka pokazuje chłopcu jak ma grać, o niczem już nie wie, tylko chciałaby z nim razem więźniom dopomódz, a muzyka od tego coraz się robi doskonalsza. I oto drzwi się rozwarły... A wtedy dzieci zebrały wszystkie swe siły i gęśl zabrzmiała tak cudownie, że nikt chyba nic podobnego dotąd nie słyszał. Zajaśniało w całym domu wielkie światło i wszystkie skarby serc ludzkich, niby tłum białych gołębi wyleciały z podziemi. W tej chwili na progu sali stanął czarownik. Nie może się zbliżyć do dzieci, bo lalki otaczają je wielkiem, wirującem kołem i plączą mu się pod nogami tak, że o mało nie upada, więc z najeżoną od wściekłości brodą, zaczął miotać straszne zaklęcia. Ale skutek ich był dla niego zupeł-

nie nieoczekiwany, bo oto pośrodku sali staje duch rycerza dawnego pana tych miejsc, chwyta go i wtrąca do lochu. W tej chwili znikły wszystkie czary. Figurki stopniały nagle jak lód i gdzieś przepadły, a dzieci zdążyły tymczasem wybiedz z domu. Białe gołębie lecą chmurą za niemi, a potem kierują się w różne strony świata. Biegną dzieci pędem przed siebie, aby stąd być jaknajdalej. Nie śmią już wracać po gęśl czarodziejską, bo teraz je dopiero strach ogarnął, kiedy już wszystkiego dokonały, a za niemi słychać łomot i trzask, to stary dom zapada się w ziemię przy szumie burzy.

Potem nagle rozpogodziło się. Księżyc zaświecił i zrobiło się tak pięknie na świecie, jak tego dawno ludzie nie pamiętali. Dzieci tymczasem były już niedaleko miasta, a mieszkańcy, co wybiegli za bramy, zobaczyć, co się takiego nagle z domem dzieje, dowiedzieli się o wszystkiem od nich. Więc ponieśli je w wielkim tryumfie na rękach do miasta, a tam już biły dzwony mimo późnej pory i sam król wychodził na ich spotkanie. Wielu ludzi, co przedtem lalkami byli, znajdowało się teraz w tłumie, i najserdeczniej oni właśnie dzieci witali, gdy dowiedzieli się co dla nich zrobiły.

Wszyscy wołali: — wiwat, niema już czarownika! — a dzieci uradowane powtarzały ciągle wszystko, od początku, bo każdy chciał się czegoś dowiedzieć. Potem nadworny kronikarz króla zapisał wszystko do historyi kraju, a dzieci, co odnalazły znów swoich rodziców, wróciły do nich i żyły długo szczęśliwie...

Na miejscu domu nic nie znaleziono, ani nawet kawałeczka kamienia. Trawa tam teraz rośnie i pasą się owce. Tylko

stara studnia stoi jak dawniej i pasterze czerpią z niej wodę w gorące dnie. O gęśli czarodziejskiej też odtąd nikt nie słyszy. Ale jest ona pewno gdzie głęboko w studni ukryta, aby, gdy jaki zły czarownik pojawi się na świecie i zacznie znów ludziom szkodzić, ukarać go tak, jak kiedyś.

O SIOSTRZE DZIEWANNIE, BRACISZKU WĘDROTKU I STARUSZCE TĘSKNICY.



Dawniej, kiedy słońce zachodziło, a po górach i na obłokach widać było jeszcze jego czerwone promienie, albo kiedy księżyc w wartkiej wodzie niby srebrna ryba się pluskał, albo gdy czasami piękną jesienią niby coś zdaleka śpiewało, a to tylko przecie ziemia cała do snu się sposobiła, wtedy ludzie opowiadali sobie o staruszce Tęsknicy. Ale cichutko, ale szeptem, jakby to była jakaś bardzo wielmożna osoba, a ten i ów pomyślał sobie tylko o niej, patrząc na gwiazdy dalekie, gdy księżycowi świecić pomagają. I dziwowali się ludzie, jak wielką jest jej władza. Bo kto tylko o niej dłużej pomyślał, to zaraz zdawało mu się, że musi ciągle iść precz przed siebie przez góry, puszcze i jeziora, choć nie każdemu na to siły staje. Więc umyślili sobie ludzie, że jest to jakaś królowa, co niewiadomo, jak daleko mieszka, a tutaj po świecie chodzą tylko jej sługi, co ciągle o niej ludziom przypominają, choć nikt ich nie widzi, ani niewie, jak nazwać.

I bardzo długo nie wiedzieli ludzie co to jest do Tęsknicy droga? Czy po to, aby ją zobaczyć trzeba wyjść na góry wysokie, gdzie świat do nóg się wzorzyście ściele, czy na wody

morskie wypłynąć, kiedy odbiegają od brzegu grzbietami bałwanów, aż tam, gdzie dzień się w nich topi, to znów wynurza? Opowiadania o tem odwieczne chodziły między ludźmi i nie pozwalały zapomnieć. Bo i jakże człowiek Tęsknicę zapomni? Na polu wietrzyk o niej wieje, co wczora tam był, gdzie ty może i do śmierci nie będziesz, na morzu głębokość o niej szumi, co się z firmamentem spiera w czas burzliwy, a na górach oczy ją czują, dla których niemasz tam kresu. Pewno tam one niewidzialne jej sługi, stawały obok człowieka i poszeptywały mu do ucha swoje opowiadanie?

Dość, że tyle dawniej wiedzieli ludzie o Tęsknicy i dlatego nie było prawie człowieka, coby z dziecięcia wyrósłszy, niechciał znaleźć do niej drogi. Im trudniejsza, im bardziej niewiadoma, tem chętniej młodość przemierzyć ją chciała.

Dużo już o tem było powieści. Opowiem wam teraz, jak się ludzie dowiedzieli, coto jest Tęsknica, posłuchajcie.

W wielkim lesie, co z wzgórz kamienistych ślicznego kątka kraju naszego niby płaszcz zielony spływał, mieszkało w małej chatce rodzeństwo: brat i siostra. Ojca nie pamiętali a i matka dawno im odumarła, kiedy braciszek był maleńki i mało co rozumiał. Dobrzy ludzie, co sierotom pomagali, jak mogli, w ich małem gospodarstwie, zwali siostrzyczkę Dziewanną. Bo też była to dziewczynka smukła, jasnowłosa, niby owa skromna roślina, złotymi kwiatkami okryta. Całem bogactwem rodzeństwa była maleńka chatka leśna, a w chatce śród skromnych sprzętów, skrzynka matczyna, zamknięta na zamek misterny, czarna od starości. Kluczyk od skrzynki nosiła Dziewanna zawsze na szyi

na wytartym łańcuszku, a kiedy szła po wodę ze dzbankiem i nachylała się nad źródłem, kluczyk zwisał nizko, tak, że prawie wody dotykał i odbijał się w niej wyraźnie, bo był pięknie błyszczący. Najczęściej wtedy brała go w ręce Dziewanna, ale zanim go za sukienkę schowała, patrzyła nań długo, myśląc o matce. Źródło szumiało po kamieniach, kukułka odzywała się w lesie raz po raz, a dzieweczka przypominała sobie wszystko, co matka jej za życia mówiła.

Jak przez sen pamiętała Dziewanna te opowiadania. Była wtedy jeszcze mała, a potem, kiedy matka umarła, zmartwienie zaćmiło jej wszystko, jak czas zaćmiewa powoli piękny obraz, kiedy malarz, co go malował, już nie żyje. Wie tylko, że gdy las szumiał czasami z wiatrem długo i poważnie, matka nieraz powtarzała, że ten szum podobny jest do szumu wielkiej wody-morza, nad którem kiedyś razem z ojcem mieszkali. I przypomina sobie, co matka mówiła o wielkiej malowanej łodzi ojca, w której płynął daleko przez szumiące wody, a nieraz kiedy strumieniem płynie liść zżółkły lekko po brzegach zagięty, Dziewanna myśli: to łódź ojca tak płynęła na daleką wyprawę... Woda przeskakuje przez kamienie, liść płynie coraz dalej, a dzieweczka siedzi zamyślona. Z lasu wychodzi sarna i patrzy zdala, ale to jej nie przeszkadza. Aż dopiero kiedy braciszek zawoła na nią: — Dziewanno, Dziewanno! gdzie jesteś? — siostra wstaje i wraca do domu.

W kącie chatki, obok skrzynki matczynej, stoi jeszcze jeden sprzęt dziwny. Jest to wysoka laska z drewnianą głową koziołka misternie osadzoną na końcu. Wędrotek, chłopiec żywy i we-

soły, jak wszyscy chłopcy, nieraz już prosił siostrę, aby mu pozwoliła się nią pobawić. — Widziałem, Dziewanno, jak woły ciągną drzewo z lasu, a na nich, trzymając się za rogi, siedzą mali chłopcy i krzyczą wesoło; zabawię się w woły, daj mi laskę Dziewanno! — Ale siostra nie pozwalała na to, raz nawet, kiedy chłopiec się napierał, rozgniewała się bardzo, ona, taka zwykle łagodna: — Kiedyś dowiesz się, Wędrotku, że ten koziołek będzie naszym przyjacielem w dalekiej drodze, — powiedziała i zamilkła. Więc od tego czasu Wędrotek staje tylko czasami przed koziołkiem, ogląda laskę od dołu do góry, a potem ręce wtył zakłada i śpiewa o koziołku, co przez góry i lasy prowadził siostrę z bratem.

Dzieci rosną sobie w lesie, jak dwa ptaki. Ale niejednakowe są dzieci, choć kochają się tak, jak tylko brat z siostrą kochać się mogą. Dziewanna starsza jest zawsze zamyślona i cicha. Zdarza się, że wieczorem, kiedy Wędrotek już śpi, wielki pełny księżyc zajrzy przez okienko do wnętrza. Wtedy ten stary ciekawski widzi, jak dzieweczka siedzi zamyślona, patrząc na skrzynkę matki. Więc kiężyc myśli sobie: — Pocóż to smuci się tak to maleństwo? — i póty się po ścianie posuwa, póty się skrada cichutko, wolniutko, aż pierwszy jego promień padnie na główkę Dziewanny. — Co za śliczne włosy! — mówi sobie wtedy promień i posuwa się dalej ku twarzyczce, aż wreszcie zaświeci w oczy, tak jakoś figlarnie i łagodnie, że Dziewanna główkę spuszczoną podnosi i patrzy na niebo. A na niebie gwiazdy mrugają, przechodzą poważnie parami, niby wielcy państwo, a mniejsze maleństwa zbiły się w gromadki i coś sobie gwarzą. — Tak, tak, świeć-

cie, świećcie, ach, — odzywa się daleko słowik. Dziewanna wychodzi na próg chaty i stoi tam długo, aż póki z pomiędzy drzew nie spojrzy na nią sen. Wtedy dzieweczka wraca do domu i do snu się układa. Braciszek już śpi dawno i za chwilę w chatce jest zupełnie cicho, tylko świerszcz za ścianą odzywa się bez przerwy, jakby go kto za to chwalił.

Dziewanna jest zawsze poważna, Wędrotek zato żywy i czupurny, jak młody orlik. — Patrz, siostro — mówi nieraz — jak ptaki lecą wysoko nad drzewami, słońce mają na skrzydłach, tak, jakby same świeciły, a krzyk ich aż tutaj słychać, chciałbym być takim dużym ptakiem, siostro! — Dziewanna podnosi w górę swoje błękitne oczy i patrzy, aż póki ostatni ptak nie zniknie za drzewami, a potem opuszcza ręce mimowoli za niemi wyciągnięte i całuje brata w głowę. Wędrotek rzuca się jej na szyję, aż Dziewanna ugina się pod ciężarem. — Prawda, siostro, jak pięknie leciały? — woła.

Kiedy Wędrotek podrósł trochę, Dziewanna woła go kiedyś i mówi:

— Widzisz braciszku ten kluczyk, co go noszę na szyi? Można nim skrzynkę matczyną otworzyć.

Wędrotkowi zaświeciły się oczy.

— Ale pamiętaj — mówi dalej siostra — że teraz tego zrobić nie możemy. Kiedyś przyjdzie na to czas, a wtedy pójdziemy z tem, co jest skrzynce, w drogę. Pamiętaj o tem, bracie!

— Ktoś patrzy przez okno! — zawołał w tej chwili braciszek i pobiegł do drzwi. Siostra też wyszła za nim, ale naokoło nikogo nie było, tylko duża wrona zatrzepotała się niedaleko

na drzewie. I brat z siostrą nigdyby się nie domyślili, że kiedy rozmawiali z sobą, przez okno rzeczywiście zaglądała pierwsza sługa staruszki Tęsknicy, Ciekawość, co się potem naprędce w kruka zamieniła.

Musicie się jednak dowiedzieć, dlaczego Dziewanna tak poważnie bratu o dalekiej drodze opowiadała. Ojciec dzieci był rybakiem nad dalekiem morzem. I postanowił sobie jeszcze za młodu szukać staruszki Tęsknicy, o której mu ojcowie opowiadali. Skarbów nie brał, co mu się czasami trafiały w zarzuconych sieciach, tylko w burzę czy pogodę chciał zobaczyć Tęsknicę nieznaną, co, jak myślał, w morzu się przed ludźmi ukryła. I zdarzyło mu się kiedyś spotkać okręt ogromny, który od początku świata wypłynął, a miał się zatrzymać aż na jego końcu tam, gdzie człowiek nigdy nie będzie, a na okręcie dojrzał jakby królewską staruszkę, co trzymała jakąś skrzynkę przed sobą, pokazując mu ją zdala.

— Tęsknica to jest pewno i skarby mi swoje pokazuje — pomyślał sobie ojciec Dziewanny i począł gonić okręt w swojej malowanej łodzi. I płynął tak od nocy aż do świtu, a wtedy zerwała się nagła burza, kiedy już był blizko okrętu. Łódź malowana zaczęła tonąć, a wtedy staruszka, co była drugą sługą Tęsknicy — wiarą ludzką — rzuciła mu skrzynkę do wody. Ale ojciec Dziewanny nie mógł już się uratować, bo morze zazdrosne jest o tego, kto raz w nie wpadnie. Utonął, tylko zdążył jeszcze chwycić w ręce skrzynkę staruszki z tkwiącym w niej złocistym kluczykiem. Rano rybacy znaleźli go na brzegu i odnieśli razem ze skarbem, nie zaglądając, coby w skrzynce było.

Bardzo płakała wtedy matka Dziewanny, a dzieweczka maleńka jeszcze nie rozumiała dobrze straty. Ludzie potem mówili, że matka pewno zajrzała do skrzynki ojcowej, bo od tego czasu stała się jakaś dziwnie milcząca, a wkrótce poszła w świat z Dziewanną precz od morza, aby jej widać dziecka nie urzekło, i szła tak górami i drogami, aż póki zaszła tu do lasu. Tutaj też urodził się Wędrotek. Kiedy matka umierała przywołała do siebie Dziewannę i rzekła:

— Kiedyś musicie ty i braciszek pójść w drogę daleką. Ojciec wasz szukał kiedyś staruszki Tęsknicy i dostał jej skarby, ale życiem to przypłacił. Są one w tej skrzynce, co ją koło mnie widzisz, i wy musicie jej je oddać, bo chcę, abyście byli szczęśliwi. Ale trudna czeka was droga, więc za młodu musicie ją zacząć. Nikt nie wie, gdzie mieszka Tęsknica i ile czasu trzeba, aby się do niej dostać. Więc kiedy tylko Wędrotek podrośnie, pójdziecie ze skarbami, a ja wam będę pomagała w drodze. Tymczasem, Dziewanno, noś kluczyk od skrzynki na szyi i nie otwieraj jej przed czasem, aż sama dam ci znak, że iść macie. W drogę weźmiesz, Dziewanno, moją laskę, ona ci tak samo, jak i mnie usłuży i zbłąkać nie pozwoli. Dostałam ją kiedyś na drogę od mądrej kobiety, co wiele widziała i mówiła mi, że drewniany koziołek jest czarodziejskim znakiem wytrwania.

I wtedy zajrzała przez okno, choć Dziewanna płacząc, tego nie dostrzegła, trzecia sługa Tęsknicy — śmierć. A kiedy matka przestała mówić i zamknęła oczy, śmierć podeszła do jej łoża i wzięła z pod powiek jasny promyk życia, a potem oddaliła się w las, niby mgła wieczorna, co się po gałęziach czepia.

Dobrzy ludzie pochowali matkę. Wysokie dziewanny wyrosły na tem miejscu, a kiedy dzieweczka przychodziła tam się modlić, to między kwiatami wyglądała, jak jeden jeszcze — najpiękniejszy.

Czas płynie, jak woda w strumieniu, ludzie starzeją się, a dzieci rosną, jak kwiaty... Kiedyś Wędrotek, który już był dużym chłopcem, przybiegł z lasu do domu z krzykiem radosnym.

— Dziewanno, Dziewanno! — wołał, aż echo dzwoniło między drzewami — widziałem złotego ptaka w lesie, pójdź tam ze mną! — Więc Dziewanna pozwoliła się wziąć za rękę i zaprowadzić na małą polankę, gdzie na nizkiej gałęzi siedział ptak złocisty. Ogon miał, jak promienie słońca i ognistą koronę z piórek na głowie. Kiedy rodzeństwo zbliżyło się do niego, siedział spokojnie i patrzał na nich mądremi, szmaragdowemi oczkami tak, jak tylko cudowne ptaki patrzeć umieją.

— Czy pozwolisz się zabrać, ptaku? — zapytał Wędrotek, a ptak zerwał się i usiadł na ramieniu chłopca. Wtedy Dziewanna zamyśliła się głęboko. Braciszek z ptakiem na ramieniu wydał jej się jakoś inny. Zdawało się jej, że to mały rycerzyk, który już wszędzie pójść może.

Wieczorem rodzeństwo ułożyło się do snu w chatce leśnej, a ptak siedział sobie spokojnie na skrzynce matczynej. Ale Dziewanna nie spała; trzymała w ręce kluczyk matki i myślała o niej. I oto wydało się dzieweczce, że słyszy, jak matka mówi: — Jutro pójdziecie w drogę, dzieci. Wędrotek już z tobą iść może, bo dorósł do swego czasu. Ptak złocisty to jego odwaga młodzieńcza, co wam się nieraz przyda w podróży. Otwórz, córko,

skrzynkę jutro rano, wyjmij co tam znajdziesz i zabierz ze sobą, to właśnie macie oddać staruszce Tęsknicy.

W tej chwili Dziewanna poczuła, że ją matka całuje. Więc wyciągnęła przed siebie ręce i wypatrzyła oczy, ale tylko ptaszek ze skrzynki spojrzał na nią szmaragdowemi oczkami i skinął ognistą koroną. Nazajutrz Wędrotek opowiedział siostrze, że go ktoś w nocy długo całował.

— To była matka, braciszku, kazała nam iść dzisiaj w drogę, zabierając to, co jest w skrzynce.

I siostra wzięła w rękę kluczyk, a łańcuszek sam się rozerwał, uklękła na ziemi przed skrzynką, braciszek zaś z ptakiem na ramieniu stał za nią.

Powoli otwierała Dziewanna skrzynkę i już oto wieczko się podnosi; ptak na ramieniu chłopca trzepocze skrzydłami, a Dziewanna widzi, że w głębi skrzynki leży pismo, którego odczytać nie może, z różnemi wielkiemi pieczęciami na wstędze szerokiej. Kiedy Dziewanna wyjęła pismo ze skrzynki, oczy jej stały się jeszcze bardziej zamyślone. Stoi i myśli, bo widzi przed sobą matkę, jak żywą i uśmiechającą się do nich. W tej chwili laska przy ścianie obróciła się wolno. Przez okienko promień słońca padł na głowy dzieci i oświecił je, jak dla zachęty.

— Chodź, siostro — mówi Wędrotek — zaczyna się nasza droga, o której mówiłaś.

Więc Dziewanna zwija pismo w trąbkę, zawiązuje piękną wstążką w różyczki i liście i zakłada je na laskę.

— Mam gałąź z tego drzewa, gdzie nasz ptak siedział — mówi Wędrotek — i bierze ją na ramię, a ptak sam siada na

niej. Tak dzieci wychodzą z chatki. Dziewanna z laską w ręce, a Wędrotek z swoją odwagą młodzieńczą, niby złocistym sokołem na ramieniu, żegnają miejsce, gdzie matka pochowana i idą w świat, w trudną nieznaną drogę staruszki Tęsknicy, a dziewanny chwieją za niemi całym lasem złotych kwiateczków.

Śliczny jest świat w słońcu, kiedy się idzie daleko. Pośrodku pól stoją stare, zgięte drzewa, z wzgórz kamienistych spływają ku nim lasy, niby płaszcz zielony, zdaleka w dolinie płynie rzeka, którą ptaki, górą lecące, widzą niby srebrnego węża.

Wędrotek z Dziewanną idą przez pola, zieloną trawą i żółciutkim piaskiem. Wietrzyk szepcze do ucha siostrze:

— Jest, nie wiem gdzie, ale jest Tęsknica daleko, daleko...

I nic dziwnego, obok Dziewanny idzie czwarta sługa staruszki — Smętek, muska ją ręką po czole i napełnia jej oczy myślami nad posłannictwem, powierzonem przez matkę. Obok siostry idzie Wędrotek, ptak złocisty siedzi na gałęzi, co ją chłopiec na ramieniu trzyma, a oczy jego patrzą na świat, niby na drogę szumną a szeroką, którą on właśnie przemierzyć powinien. Zobaczy staruszkę Tęsknicę, choć nikt jej dotąd nie widział, oddadzą jej z siostrą skarb ojca i będą szczęśliwi, a matka im się uśmiechnie w podzięce.

Ale droga Tęsknicy trudna jest, bo niewiadoma. Nikt spotkany nic o niej wyraźnie powiedzieć mie może. Dziwują się ludzie dzieciom, co chcą takiej trudnej sprawie podołać, błogosławią im wślad, bo kiedy droga Tęsknicy będzie nareszcie wiadoma, niejedno życie się nie zmarnuje. A dzieci idą. Siwy czas zabiega im drogę i mówi:

— Stójcie, zatrzymajcie się, oddajcie mi młodość swoją i sami tu zostańcie! Oto tutaj macie lasy i wody, pełno naokoło ludzi, z którymi zgodnie mieszkać można. Dosyć przeszliście już drogi, resztę kto inny za was przemierzy, nie mogę za wami nadążyć, a tyle mam różnych spraw na świecie do doglądania. Gniewa się wreszcie czas na dzieci, wali im w poprzek drogi wielkie odwieczne drzewa, rozlewa szeroko rzeki i strumienie i przegląda się potem w ich twarzach, czy wreszcie zmęczenia nie dostrzeże. Ale niedarmo Wędrotek ma ptaka złocistego, a Dziewanna laskę matczyną i na niej pismo nieznane. Nikomu nie można powierzyć pisma, a ptak by odleciał, gdyby się na miejscu zatrzymać. Więc braterstwo idą zgodnie dalej, bo przecie odeszli od miejsca, gdzie matka pochowana, jej słuchając woli.

I zaszła wreszcie Dziewanna z bratem do dalekich, bajecznych krajów, dokąd nie każdy trafić może. Ludzie za niemi, co ich przechodzących widzieli, opowiadali sobie już o nich, jak o jakiemś zjawisku, a niejeden się między innemi znalazł, któremu się dała widzieć sługa Tęsknicy — Wiara ludzka i ten już inaczej o samej Tęsknicy opowiadał, bo był pewien, że droga jej znalezioną została.

Kraj, dokąd zaszli Dziewanna z Wędrotkiem, był naprawdę bajecznym krajem. To wszystko, co widzieli i wiedzieli kiedyś, stało im się zupełnie wyraźne i zrozumiałe. Pojmowali teraz język roślin i zwierząt, wiedzieli, co mówią chmury, goniąc się po niebie i dlaczego wysokie góry, które wierzchołki swoje do nieba wznoszą, modlą się w białych kapturach śniegów, za we-

lonami mgły. W cudownym kraju były takie same drzewa i kwiaty, jak gdziekolwiek, ale dzieci rozumiały ich życie a to więcej znaczy, niż tylko szum lub zapach. I kiedy tak podziwiały wszystko, rzekł Wędrotek do siostry:

— Zdaje mi się, Dziewanno, że już dalej nie pójdziemy, bo ptak mój już się nie niecierpliwi do drogi. — A Dziewanna obejrzała się naokoło i nagle przysłoniła oczy ręką od blasku, mówiąc:

— Czy widzisz, jak coś świeci zdaleka, niby wielka woda? Zdaje mi się, że to wszystko, co tu jest, w niej się odbija...

I podeszli tam bliżej brat z siostrą, aż natrafili na wielką wodę, co była lustrem mądrości. Stanęli Wędrotek i Dziewanna nad wodą wielką i pierwszy raz, zatrzymując się dłużej, spojrzeli na siebie tak, jak nigdy dotąd nie spoglądali. I zobaczyli brat z siostrą, że są tacy sami, jak wtedy, kiedy dziećmi z chatki leśnej wyszli, bo nie dali się czasowi zatrzymać w drodze, i dlatego godzinom ich wyrosły skrzydła i leciały one same w przestrzeń, zamiast dzieci obciążać. Oczy tylko siostrze i bratu wypiękniały i opowiadały mądrze całą drogę, a nie było tam nic, czegoby trzeba żałować. I kiedy tak dzieci patrzyły na siebie, zerwał się z ramienia chłopca ptak złocisty i odleciał wysoko. Ale zaśpiewał przytem ślicznie, a Dziewanna poczuła, że głos jego pozostał w jej sercu, niby niezmierna melodya na zawsze. Wtedy zdjęła siostra z laski nieznane pismo, które się samo rozwinęło. I kiedy trzymała je w ręce, niby wielki liść biały, brat spojrzał na nie i zaczął, o dziwo, czytać powoli. Była tam napisana cała tajemnica ich drogi, wytłumaczona była ona pię-

knemi literami. Litery same opowiadały o sobie wprost, czytać ich nie było trzeba, a każda znaczyła tyle, ile znaczy cała księga ludzka, tylko, że księgę długo i mozolnie czytać by trzeba. Na końcu wreszcie wyczytały dzieci, że, aby zrozumieć, co to jest Tęsknica, co znaczy to samo, co oddanie jej skarbów zabranych, trzeba wrzucić pismo do morza mądrości. Więc spojrzał Wędrotek na Dziewannę, a ta skinęła głową i pismo spadło do zwierciadlanej wody. Ale kiedy zaczęło na dno opadać, z wody wynurzyła się najzaufańsza sługa Tęsknicy — Kochanie.

— Pójdziecie za mną na dno — powiedziała ona — bo to jest owo szczęście, o jakiem mówiła wam matka. Tylko tamtędy możecie wrócić na świat, bo na tej samej drodze, coście nią przyszli, zastąpił by wam drogę rozgniewany Czas. Samej Tęsknicy, tak, jakeście o niej przedtem od ludzi słyszeli, nigdy nie zobaczycie. Tęsknica, to my, wszystkie sługi człowieka i bez nas tu byście nie doszli. Tylko ludzie nas nigdy razem nie widzą i dlatego dotąd myśleli, że Tęsknica to królowa, która gdzieś za górami mieszka.

Brat z siostrą poszli za wezwaniem Kochania na same dno morza, o którem niewiele w języku ludzkiem powiedzieć można. To tylko jest pewne, że prowadziły je tam razem wszystkie sługi, aż wyprowadziły znów w świat zwyczajny. Tam już spotkali ich ludzie, ale nie każdy mógł zrozumieć, coto jest naprawdę Tęsknica. Bo nie każdy zamiast królowej Tęsknicy chciałby zobaczyć morze mądrości.

Pewien stary pustelnik, który znał historyę dzieci, napisał

w swojej księdze, że świat bajeczny, gdzie brat z siostrą byli, jest także na ziemi. I napisał jeszcze ów pustelnik, że cała droga dzieci, podobną jest bardzo do tego, co ludzie nazywają doskonałością życia ludzkiego. Myślę nawet, że ów pustelnik nie bardzo się pomylił.

To, co napisał, stało się ludziom wiadome, a niektórzy, co najlepiej nad tem pomyśleli, dostali się przez Tęsknicę w życiu do morza mądrości, którego woda wszystko zrozumiałem i pięknem czyni.

ŚPIĄCY KRÓLEWICZ.



Bardzo już dawno przepadł ludziom z oczu królewicz Słoneczny. Był on synem króla potężnej niegdyś krainy, która jeszcze za lat dziecięcych królewicza przeszła wielkie nieszczęścia. W granicach jej zjawili się wtedy potężni wrogowie, a było ich takie mnóstwo, że rycerze obrońcy kraju, ze starym królem na czele, nie mogli się z nieprzyjacielską nawałą uporać. Wrogowie płynęli jak fala, co odparta z jednej strony, gdzieindziej tem groźniej się podnosiła, palili miasta i wsie, a na wierny królowi lud nakładali srogie kary, aby się wyrzekł swojego władcy. Nie każdy człowiek jest w nieszczęściu jednakowo wytrwały, to też i w ludzie, chociaż króla swojego kochał, znaleźli się tacy, co nie widząc końca wojnie, zaczęli się bratać z wrogami, niby to dla dobra kraju swego.

Starego króla bolało serce na widok takiego bratania; nie wszystkim swoim poddanym mógł on wobec tego jednakowo ufać, a wrogowie prześladowali go tem zacieklej, im mniej czuł się pewnym na własnej ziemi. Z garstką tylko wiernych rycerzy

ukrywał się wreszcie król w niedostępnych miejscach po lasach co najgęstszych, albo przepaścistych górach. Jedynak Słoneczny zawsze był z nim, dzielił trudy i niewygody ojca i zawczasu nauczył się rozumieć nieszczęście ojczyzny, choć był jeszcze za mały, aby co na nie pomódz. Ale królewicze bohaterowie rosną prędko, Słoneczny, choć nie nosił jeszcze swojego przydomku, urodził się, jak to mówią, na bohatera. Więc po latach takiej tułaczki królewicz, który się już potrosze obeznał z rycerskiemi sprawami, przedsięwziął z garstką rycerzy pierwszą wyprawę na wroga, co już się nie spodziewał wielkiego oporu ze strony wygnańców. Nie bardzo był z tego zadowolony jego ojciec, ale widząc, jak odwaga królewicza wszystkich zachęca, zezwolił na wyprawę, którą przedsięwzięto według planu młodego dowódcy. Zwyciężył w tej pierwszej walce królewicz, pobił wrogów na głowę, tak, że nawet osiwiali w bojach żołnierze, nie mogli sobie wytłumaczyć, jak się to stało i odtąd już nie ojciec, a on kierował resztą wiernych wojsk w królewskiej sprawie.

A trzeba było walczyć tembardziej teraz, po pierwszej wygranej, aby nie dać wrogowi czasu do opamiętania. Więc królewicz był niezmordowany. Potrafił ożywić najbardziej zniechęconych, a nieprzyjaciół nawet zwalczyć wtedy, kiedy najbardziej ufali sobie. Więc zaczęli się oni pomału trwożyć o pewne już zwycięstwo i zebrali wielkie wojsko, aby zgnębić to królewskie chłopię, co niby dojrzały bohater krzyżowało ich zamiary. Ale niełatwa to już była sprawa. Bo na wieść o czynach królewicza zebrali się przy nim ci, których ostrożność od miecza oderwała, znaleźli się nawet tacy, co nigdy wojować nie chcieli

którzy ujrzeli, że wszystko inny obrót zaczyna przybierać. I kiedy nadszedł dzień wielkiej bitwy i oba wojska stanęły naprzeciw siebie, były sobie prawie równe liczbą, tylko, że w królewiczowem nikt ani na chwilę nie wątpił o zwycięstwie, taka tam panowała otucha. Wszyscy patrzyli jak na słońce w młodego wodza, a on wyglądał rzeczywiście jak słońce, bo przywdział tego dnia na siebie odwieczną zbroję darowaną przez ojca. Zbroja była cała w jasno świecące, złote słońca wykuta i migotała tak, że sam jej blask patrzących oślepiał. Na głowę włożył królewicz ojcowską koronę i wziął w rękę miecz wielki, któremu niejeden zwyczajny człowiek by nie podołał. A zanim bitwa się zaczęła, poszedł młody bohater do małej ubogiej świątyni, co niedaleko pola walki stała opuszczona i tam ślubował sobie, że jeśli zwycięży, będzie tylko odtąd słonecznym sprawom służył i nosząc na sobie zbroję odwieczną, walczyć będzie nieustannie przeciw wszystkiemu, co się wśród nocy ukrywa i dniowi jest niechętne. W tej chwili zmieniła mu się twarz tak, że nigdy przedtem taką piękną nie była, wielki miecz stał się lekki w ręce jak piórko, że ino odtąd zawsze by się nim walczyć chciało za wszystko, co dobre i jasne.

Kiedy królewicz wrócił do swoich zaraz zatrąbiły po obu stronach trąby wojenne i bitwa się zaczęła. A okropne to było łomotanie. Wrodzy rycerze ubrani w czarne posępne zbroje rzucili się z wielkim impetem na wojska słonecznego dowódzcy. I byliby napewno zwyciężyli, gdyby królewicz nie zjawiał się wszędzie sam, szybko jak błyskawica, gdzie tylko rycerze jego się cofali. Nad całem polem bitwy podniósł się gęsty kurz, wznie-

cony przez nacierające na siebie wojska, a w nim zdaleka błyskała tylko patrzącemu na to wszystko królowi, złota zbroja syna, świecąca jak słońce samo. — Słoneczny, słoneczny! — wołali na to ci, co przy boku królewskim na bitwę spoglądali, a to samo zaczęli powtarzać walczący żołnierze. I wkrótce czarni wrogowie ustąpili. Z początku powoli, a potem w popłochu zaczęli oni uciekać przed Słonecznym. Bitwa miała się ku końcowi. Nieprzyjaciel pobity był zupełnie, a strudzone wojska wracały śpiewając na cześć królewicza, który sprawił, że bitwa tak się pomyślnie zakończyła. I było się z czego radować. Potęga wrogów została na zawsze złamana, a Słoneczny, który sobie jednogłośne owo przezwisko podczas boju zdobył, został obwołany najwyższym wodzem i pierwszą po królu osobą, choć niedawno był jeszcze prawie młodzieniaszkiem.

Dobrze się dziać poczęło w królestwie, kiedy rządy przeszły w ręce królewicza. Stary, znużony nieszczęściami jego ojciec, odstąpił mu je z radością, a królewicz tak zaczął ich używać, jak zaprzysiągł w dniu wielkiej bitwy. Wrogowie zostali wypędzeni z kraju, miasta i wsie odbudowane z popiołów, pola zazieleniły się na nowo od zbóż wszelakich, a w portach widać było coraz więcej ładownych skarbami okrętów, co z dalekich krajów przybywały. Kiedy już ład i spokój wróciły na nowo do kraju i nie było więcej obawy, aby wrogowie ośmielili się najść granice potężnego teraz państwa, zaczął królewicz tęsknić do bohaterskich czynów, których tyle dokazał na swojej ziemi. Wiedział on, jak wiele zła dzieje się na świecie i wierny swojemu ślubowi, oddał wreszcie władzę w ręce ojca, a sam wsiadł na

wielki okręt, aby pojechać tam, gdzie jego bohaterskie czyny, mogłyby się przydać ludziom.

Od tej chwili nie oglądali go wierni poddani, ale wiadomo im było o różnych jego bohaterskich czynach, bo ojciec posyłał za nim umyślnych gońców z pomiędzy najdzielniejszych rycerzy, aby donosili o tem, co jego ukochany syn w dalekich krajach porabia. Wszystko to zaraz było ogłaszane w stolicy po ulicach i placach przez heroldów przy dźwięku trąb i tak rozchodziło się po całym kraju. Więc najpierw dowiedział się król, a potem lud, że wielki smok, co kędyś w niedostępnych górach miał legowisko i całą okolicę zamienił przez swoją żarłoczność w pustynię, został przez Słonecznego zabity, a królewicz zabrał mu ze łba świetny kamień, mający czarodziejską władzę, przedłużania życia temu, co go posiadał. A potem wiadomem się stało, że królewicz wytępił strasznych rozbójników morskich, którzy byli dotąd niezwyciężeni, a wdzięczni kupcy ofiarowali mu w darze pierścień z czerwonego kamienia. Pierścień miał tę cudowną własność, że posiadacza ostrzegał o złych drogach, ale dla królewicza stał się tylko zachętą, aby na nie trafiać, bo przecie postanowił sobie wszystko, co złe na dobre zmienić. A potem zdobył królewicz niedostępny zamek, gdzie zły olbrzym mieszkał i ludziom szkodził. Nie mógł się dość nacieszyć stary król tymi wszystkimi wieściami. Obdarowywał hojnie wracających wysłańców i posyłał nowych, oczekując ich z niecierpliwością, bo był coraz bardziej stary i chciałby choć na chwilę syna po tak długiej rozłące zobaczyć. Miał więc trzeci rycerz co z kolei w ślady królewicza pojechał, namówić go do po-

wrotu, bo sędziwy ojciec chciałby go przed śmiercią pobłogosławić.

Ale tym razem poseł jakoś długo nie powracał. Przeszedł rok jeden i drugi, stary król strapiony coraz bardziej, siwą głowę na piersi opuszczał, a tu wieści nie przychodziły, ani syn nie powracał. Czasem stawał król w oknie i patrzył długo na drogi, które się przez góry i równiny wiły za miastem i kiedy rzeka zabłysnęła w słońcu, zdawało mu się przez chwilę, że to zbroja synowska. Ale krótko trwało złudzenie. Więc zaczął się coraz bardziej troskać sędziwy władca o losy syna, a czas płynął i płynął, i o Słonecznym nawet ptaki nie zaśpiewały, co na wiosnę z dalekich przylatują stron.

— Musiały go gdzie złe moce opanować, albo trafił na drogę bez końca, co go po świecie wodzi i tak przepadł, — mówili sobie ludzie, a król zaniedbał ze zmartwienia sprawy całego państwa i chociaż dworzanie cieszyli go jak mogli, nic to nie pomagało. W narodzie ludzie, jak to ludzie, biadali nad zmartwieniem króla, ale żaden z nich tak, jak ojciec się nie troskał, to też łatwiej im było wytłumaczyć sobie, że królewicz zginął, jak ginie człowiek zwyczajny, co swojej uległ przygodzie. To przekonanie rozeszło się powoli po całym kraju i tak już wszyscy byli tego pewni, że sam król, chociaż jego ojcowskie serce jeszcze jakiejś nadziei szukało, zezwolił wreszcie, aby po wszystkich kościołach państa odprawiono za syna nabożeństwa żałobne. Zaraz więc następnego dnia po zezwoleniu zadzwoniły wszystkie dzwony stolicy, a smutne ich echo pobiegło daleko w świat. Dosłyszały je mniejsze dzwony miast i wiosek i powtarzając to samo, zaczęły głosić po kraju smutną wieść. Po kościołach zebrał się lud i płakał szczerze, boć przecie to zbawca ich przepadł tak niewiadomo gdzie, że aż trzeba było przypuścić, że nie żyje, aby sobie jego zniknięcie wytłumaczyć.

W katedrze w stolicy sam król zasiadł na żałobnym tronie. Patrzał na niego lud prosty i rycerstwo wsparte na tych samych mieczach, którymi kiedyś razem z królewiczem wojowali. Król siwą głowę na piersi pochylił. Łzy mu płynęły po twarzy, a słońce, świecące przez kolorowe szyby, czerwieniło je jakby z krwi serdecznej były. I skończyło się nabożeństwo, ludzie się nasmucili, a potem każdy wrócił do swojej pracy. Ale król, gdy powrócił do zamku, nie mógł o niczem pomyśleć. Kazał sobie tylko przywołać pierwszego wojewodę i ten musiał mu opowiadać, jak to kiedyś syn, przywdziawszy złocistą zbroję, pod jego okiem nieprzyjaciół pogromił. Nie chciało jakoś wierzyć biedne serce królewskie w to, na co sam się zgodził. I odtąd stary król żył tylko tem opowiadaniem. Sprawy państwa oddał swoim zaufanym, a sam słuchał codzień opowiadania wojewody, niby ostatniej swojej pociechy.

Tymczasem rycerz, którego król przed laty wysłał po wieści o synu, nie mógł Słonecznego nigdzie znaleźć. Wiedzieli o nim napotykani ludzie, bo wiele wszędzie dobrego uczynił, ale nikt nie wiedział, gdzie się teraz właśnie znajduje. Niektórzy zresztą mówili o nim, jak o jakiejś nadprzyrodzonej istocie i dziwili się, że rycerz go szuka tak, jak się szuka żywego człowieka. Więc kiedy wierny sługa po długiej wędrówce przejechał wreszcie wszystkie zamieszkane kraje, dostał się tam, gdzie się ziemia

kończy, zatrzymał swojego konia przed wielką czarną puszczą i tam w wielkiej żałości, nie wiedząc, coby się z królewiczem stać mogło, zaczął myśleć nad powrotem do kraju. Ale jak tu wrócić z taką wieścią do króla. Dzielny rycerz musi zawsze spełnić swe posłannictwo, choćby go ono nie wiem wiele trudów kosztowało. Więc postanowił sobie przez puszczę w poszukiwaniu przejechać, a potem dopiero wracać do kraju. A kiedy o tem myślał, zachodziło właśnie słońce za puszczą i wielki cień od jej drzew zaczął się coraz dalej słać po polu. Rycerz w tej chwili poruszył cuglami, dzidę ujął w rękę, aby w czarną puszczę wjechać, ale wierny koń ani drgnął na miejscu. Poklepał go rycerz po wygiętej szyi, zawołał na niego po swojemu i do biegu znaglał. A tymczasem cień coraz się dalej rozchodził już tylko rycerzowi hełm na głowie od słońca połyskuje i czuje wojak, że coś go powoli obezwładnia. Krzyknął, a puszcza w tej chwili zaszumiała cicho i cień doszedł mu do głowy. I w tej chwili rycerz, tak jak stał na koniu, zamienił się w wielką niekształtną skałę, skamieniał od cienia zaczarowanej puszczy, o której nikt go nie ostrzegł. Wierność jego i przywiązanie za Słonecznym zaprowadziły go aż tutaj, gdzie dotąd noga ludzka nie postała i tylko złe siły miały swoje schronisko, ale nie był on bohaterem, więc uległ złym mocom, co czuwały na straży puszczy. I został się rycerz w polu, niby wielka samotna skała, której wychodzący księżyc ciekawie zaczął się przyglądać.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Niesłychane były przygody królewicza w dalekich krajach. Był on wszędzie gdzie tylko można zło napotkać. A wielekroć

lśnił jego bohaterski miecz w obronie sprawiedliwości i dobra dobywany, tyle razy zapytywali go różni ludzie, którym odwagą swoją dopomógł: Skąd jesteś wspaniały królewiczu, co ujmujesz się za cudze krzywdy, jakby one były twojemi własnemi? A niektórzy, co lubili sobie wszystko zaraz dokładnie wytłumaczyć, przychodzili do przekonania, że nie mogą zrozumieć, dlaczego Słoneczny tak postępuje. Pewno chce aby o jego odwadze cały świat wiedział, tak zwykle kończyli o nim rozmowę. Byli i tacy co chcieli go u siebie zatrzymać aby u nich królował, ale widząc że dalej odjeżdża, mówili sobie, że niewiele tracą, bo to jest człowiek, który nigdy żadnego kraju na tyle nie ukocha, aby mógł być jego królem. A jeszcze inni wyobrażali sobie w prostocie, widząc jego świetną zbroję, a byli to ludzie ubodzy i dlatego tylko zdaleka przez nieśmiałość go podziwiali, że to bóstwo jakieś a nie człowiek, który kiedykolwiek odejdzie z ziemi na zawsze wracając do nieba, skąd się zjawił. Królewicz na zapytania rzadko odpowiadał, wypytywał tylko sam ludzi o krzywdy i niedole i odjeżdżał, bo kamień, co go miał w pierścieniu na palcu, mówił mu ciągle, jak wiele jest jeszcze złych dróg na świecie, które postanowił sobie dobremi uczynić.

I zajechał wreszcie Słoneczny na sam kraniec świata, gdzie ujrzał bór ogromny, co jakby ziemię kończył a niebo podpierał. Działo się to w tym czasie, kiedy daleko stąd, gdzie był, w jego kraju, uważali go już ludzie za przepadłego na zawsze, a wierny rycerz, co go ojciec Słonecznego w ślad za synem posłał, błąkał się tymczasem gdzieindziej w daremnych poszukiwaniach. — Kiedy królewicz zbliżył się do puszczy, pierścień o czerwonym kamieniu,

który go dotąd przed złą drogą jak zwykle ostrzegał, zbladł nagle i stał się do różowego popiołu podobny. Zamyślił się wtedy spojrzawszy nań królewicz i przed oczami stanęło mu wszystko, co kiedyś opuścił, wyjeżdżając z kraju na wędrówkę po świecie. Zdawało mu się, że wrogowie znów nachodzą granice, i że siwy ojciec z resztą ludu walczy, wyglądając jego pomocy, a potem widział ojca płaczącego na żałobnym tronie w katedrze stołecznej smutnych rycerzy i lud zapłakany tak, jakby ktoś wielki umarł; widział kołyszące się dzwony miast i wsi, tylko nie mógł dosłyszeć, o kim one mówią takimi smutnymi głosami. I tak to wszystko było wyraźne, że już chciał powracać, ale w tej chwili w puszczy coś się zaśmiało, a Słonecznemu wydało się, że jest to właśnie owo złe, z którem jeszcze nigdy nie walczył. Postanowił więc sobie przebyć puszczę, ale że przeczuwał, jakie go tam straszne oczekują rzeczy, zsiadł z konia i puścił go na swobodę, aby odtąd sam sobie dawał radę na świecie, ujął swój bohaterski miecz w rękę i śmiałym krokiem poszedł do pierwszych drzew, co na skraju puszczy stały. Olbrzymie były one, odwieczne, a za niemi dalej i coraz gęściej, stały nieprzebytym gąszczem jeszcze wyższe, przez które już ani promyk światła nie padał na ziemię. Gdy królewicz zbliżył się do puszczy, ta zaszumiała i wysłała naprzeciw swój cień czarodziejski, od którego wszystko żywe coby aż tutaj zaszło — kamieniało na wieki. Ale czary puszczy nie podziałały na Słonecznego. Miał on na piersiach kamień smoka, co życie przedłużał, nie miał też w sobie ani trochę ludzkiego lęku, co, jak to mówią czasami — w kamień zamienia — kiedy więc cień go ogarnął, zadźwięczała na nim tylko zbroja i miecz

drgnął mu w ręce, ale Słoneczny podniósł go wysoko w górę i wkroczył w ciemności leśne. Gdy to uczynił, w puszczy zapanowała głucha cisza tak, jakby kto się tam złowrogi na chwilę zataił. Bo rzeczywiście, cały jej nieprzebyty obszar pełen był tego zła, co prześladowane przez Słonecznego po całym świecie, miało tutaj swoje schowanie i postanowiło się teraz bronić do ostatka. — Królewicz wszedł w cienie puszczy, za nim jeszcze trochę majaczyło światło i rżał zdaleka zostawiony w polu wierny koń, ale dalej nic już ani widać, ani słychać nie było. Ciemność zaczarowanej puszczy ogarnęła go ze wszystkich stron i zgasiła blask słonecznej zbroi. Pierwszy raz nie wiedział królewicz, z której strony złe napotka. Gałęzie, kiedy szedł w zupełnej ciemności, zaczepiały o koronę na głowie tak, jakby chciały ją zdjąć jakieś niewidzialne ręce a cisza dzwoniła w uszach, niby dalekie dzwony, co mu się niedawno jeszcze wydało, że w kraju jego żałobnie dzwoniły. I znowu zamyślił się królewicz, co począć. Bystre jego bohaterskie oczy na nic mu już nie były tutaj przydatne. Zła ciemność wchodziła tylko przez nie napróżno wypatrzona i próbowała dostać się do bohaterskiego serca. Zamknął więc królewicz niepotrzebne oczy i powierzył się swoim myślom słonecznym, idąc naprzód za ich przewodnictwem, niby cudowną jakąś ręką wiedziony.

Niewiadomo, jak daleką była owa droga, którą odbywał Słoneczny z zamkniętemi oczami. Na świecie tymczasem różne się działy rzeczy: wierny szukający go rycerz skamieniał na skraju puszczy nic o królewiczu nie wiedząc, ludzie, co Słonecznego kiedyś widzieli podczas jego bohaterskich czynów, uwierzyli, że był jakąś cudowną istotą, co ich na zawsze opuściła i tylko opo-

wiadali o nim sobie, jak o jakim cudzie, a on szedł i szedł. Nie patrzył teraz przed siebie, tylko jak to ludzie mówią — w siebie — zastanawiał się i rozważał jeszcze raz wszystko, co uczynił, postępując w nieprzebytym gąszczu i ciemności zła wszelakiego, niby w przepaścistem morzu, co go całego zzewnątrz ogarnęło. I w taki sposób walczył jeszcze raz od początku o wszystko dobro i przeciw wszystkiemu złu. A w miarę, jak to się działo, jego zbroja, na której wykute były złociste słońca, sama zaczęła od siebie blask wydawać, sam też zaczął lśnić jego miecz, który niósł w podniesionej dłoni. Rozjaśniło się od tego wnętrze zaczarowanej puszczy tak, że jeśliby kto zdaleka mógł tam zajrzeć, toby mu się wydało, że w zupełnej ciemności posuwa się naprzód jakieś światło. Wtedy to złe moce, lękając się, aby zupełnie nie zostały zwyciężone przez niesłychaną odwagę Słonecznego, wytężyły wszystkie swoje siły. Bo królewicz znajdował się już bardzo blizko samego serca puszczy, gdzie na małej mrocznej polance rósł wspaniały krzew różany. Róże okrywające krzak były błękitne, otulone złym mrokiem nie mogły inaczej, jak tak blado kwitnąć, ale jeśliby królewicz doszedł do krzaka i dotknął go świetlanym swoim mieczem, wtedy zamieniłyby się zaraz na purpurowe róże szczęścia, a w puszczę wkroczyłby ze świata słoneczny dzień, niwecząc zło na zawsze. Sili się więc zło, aby temu przeszkodzić, a Słoneczny coraz się zbliża. Myśli jego dosięgły już takich granic, że widzą wszystkie zła na świecie i przed żadnem z nich lęku nie znają. Ale wtem pomyślał królewicz, czy wszyscy ludzie uwierzą temu jego ostatniemu zwycięstwu. I wydało mu się, że jest na świecie coś, czego wyraźnie dostrzedz i zrozumieć nie może, a co nie

wierzy w jego bohaterską potęgę, więc zechciał Słoneczny koniecznie to dojrzeć, aby się przekonać, czy to nie jest jeszcze jedna zła siła, kryjąca się przed nim. A kiedy chciał ją dostrzedz, zauważył po raz pierwszy, ile jest zła na świecie i zasmucił się przez chwilę, czy praca jego nie pójdzie na marne. I kiedy Słoneczny się zasmucił, stał już obok różanego krzewu, ale w tej chwili zaczął go ogarniać cichy sen. Walczy ze snem królewicz, wbił miecz swój głęboko w ziemię, aby się na nim wesprzeć, a drugą rękę wyciągnął przed siebie i chwycił nią jedną z błękitnych róż. W tej chwili sen go zmorzył zupełnie, bo błękitne róże w mroku kwitnące wszystko swoją wonią usypiały. Uśpiony królewicz upadł powoli, ale nie na ziemię, tylko na wielkie łoże kamienne, co siłą czarodziejstwa tutaj mu się pod nogami znalazło.

Uradowały się wtedy złe moce, co w puszczy schronienie miały, że zwyciężyły bohatera. I straciła puszcza swoją ciemność czarodziejską, stając się od tej chwili zwykłym nieprzebytym borem. W głębi jego na małej polance dojrzały teraz przelatujące górą ptaki łoże kamienne, a na niem uśpionego Słonecznego. Zerwaną różę trzyma przyciśniętą do piersi tak jak zasnął, nad głową pochyla mu się cały błękitny krzak różany, miecz tkwi wbity w ziemię obok bezwładnej dłoni, a na boku kamiennego łoża wyobrażone są jakby na urągowisko czyny jego bohaterskie tak jak je kiedyś dokonywał. Zaś wszystko zło rozbiegło się z puszczy po świecie, aby ludziom odtąd bezkarnie dokuczać.

Gdy się to wszystko działo, dla zwyczajnych spraw i zwyczajnych ludzi upłynęło tyle czasu, że niejedenby go przemierzyć nie zdołał. Ojciec królewicza dawno umarł z żałości, państwo

jego stało się łupem czyhających na sposobność wrogów, a o królewiczu tylko piastunki dzieciom opowiadały jak o jakiejś postaci, co niewiadomo kiedy na ziemi istniała.

Do puszczy, choć już cień jej nie szkodził, ludzie nie zaglądali bo była na skraju świata; wiernego rycerza w skałę zamienionego wiatry i deszcze do cna rozkruszyły, że został się po nim jeno kamyczek polny, zupełnie prawie trawą zarosły. Tylko ptaki, co dziś nad ziemią, jutro nad morzem latają, orłowie mocni wiedzieli, że w głębi puszczy leży uśpiony Słoneczny. Między jego ręką wyciągniętą a mieczem, co tkwi w ziemi, przędzie sobie sieć siwy pająk, ptaszęta gnieżdżą się w spadłej z głowy koronie, a błękitne róże ciągle nad nim kwitną tak, jak w dniu zaśnięcia.

Słoneczny śpi w puszczy, a ludzie nie mogą sobie jakoś na świecie ze złem poradzić, które ich oddawna zewsząd gnębi. Sądzą sędziowie ludzi, co się mu zaprzedali, smucą się mędrcy, co nad księgami młodość stracili, aby ludzi uszczęśliwić, a jakoś lepiej się nie dzieje. O złe słowo wojują z sobą królowie i tępią się narody. A kraj, który Słonecznego niegdyś był dziedzictwem, zagarnięty przez wrogów cieszy się tylko opowiadaniem o swoim bohaterze, niby jakąś legendą, co w narodzie przetrwała.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Aż zdarzyło się, że kiedyś pasterka jedna, co za owcami chodząc, myślała po swojemu, jakby to ludziom mogło być lepiej na świecie, pomyślała sobie o tem tak gorąco i serdecznie, że pojęła odrazu wiele rzeczy, coby i mędrcom niebardzo zrozumiałe były. I w tej chwili jakaś nieznana siła przeniosła ją cudem w głąb odwiecznego lasu, na polanę, gdzie leżał Słoneczny. Leżał tak, jak w dniu

zaśnięcia, bo kamień smoka życie w nim na zawsze przedłużył. Więc przyjrzała się tam dzieweczka i jego zamkniętym oczom, które niegdyś wroga samem spojrzeniem obalały, i ręce jego bohaterskiej, wyciągniętej do wbitego w ziemię miecza i czołu jasnemu, na którem myśli bohaterskie zastygły, jakby w kamieniu wykute. Rozżaliły ją ptaszki, co w spadłej koronie oddawna gniazdko słały, i stała tak dzieweczka, widząc to, o czem ludzie, jak o starodawnej historyi, opowiadali sobie przy kominie. A kiedy już się napatrzyła i westchnęła cicho, znalazła się w tej chwili znów między owcami i tylko piosenki jej się w głowie zaroiły takie piękne, o jakich dotąd nigdy nie pomyślała. Więc zaczęła je śpiewać, aż się ludzie od nich zdumieli, bo coś ich przytem za serca chwytało. Zdumieli się ludzie, piosenki rozeszły się powoli między niemi, doszły do mędrców i walecznych rycerzy, niejednemu z nich ducha dodając. I zaczęli ludzie szukać królewicza; zaczęli się nad złem zastanawiać, o nim nanowo pamiętając i w imię Słonecznego prace swoje zaczynać, te co najcięższe były. I znów upłynęło wiele czasu, aż zaczęło zło przed ludźmi umykać, choć jeszcze dużo go po świecie było. A ludzie walczyli już z niem nie tylko czynem, ale i myślą to czynić próbowali tak, jak kiedyś Słoneczny w puszczy czarodziejskiej. A w miarę, jak ludzie takimi się stawali, róże u wezgłowia królewicza czerwieniły się same coraz bardziej. I będzie kiedyś czas, że staną się jak szkarłat czerwone. A wtedy mocni orłowie zlecą na polanę z obłoków, aby włożyć wstającemu królewiczowi na nowo koronę na głowę. I ujrzy go znów jego kraj, który niegdyś opuścił, oddając całemu światu swoją bohaterską siłę.



HISTORYA O MŁODYM KRÓLEWICZU I ZŁOTYM KLUCZU

Wspaniale wygląda zdaleka zamek królewski. Szeroka rzeka, co się kręto przez cały kraj wije, opasuje go prawie dookoła, płynąc szybko od gór, co za nim stoją zdala niby siwe olbrzymy strażniki. Ciemny las od nich na równinę spływa, ale bliżej siedziby królewskiej to już nie puszcza posępna, z powalonymi na młodsze pniami drzew staruchów, tylko rosłe gaje, a jeszcze bliżej cudowne ogrody, świecące w słońcu bukietami kwiatów i sklepieniami drzew, niby jakiś labirynt czarodziejski. A nad tym labiryntem otoczona zatoką wodną wznosi się wielka budowla królewska: wieże i mury, okna, świecące w słońcu jak błyskawice, mosty, dudniące od kopyt końskich. Wzdłuż murów chodzą czujni pachołkowie w ciężkich hełmach, z długiemi dzidami w rękach, na wieży powiewa wysoko zaciągnięty sztandar, zdaleka widoczny, a głosy trąb, gwar ludzki i szmer całego tego domowiska płyną daleko ponad równinę coraz cichsze, ciekawiące już zdala wędrowca, gdy się w te strony przybliża.

Prawdziwy zamek z bajki. Ptaki, co znają wszystkie szczyty

jego wież, wszystkie kamienie nadwodne i wszystkie fontanny w ogrodzie, oglądają go co dnia. Ale jeszcze lepiej obejrzeć go może myśl ludzka, kiedy go sobie wyobrazi przy pomocy bajki.

Bajka, która w tym wypadku myśli mojej pomogła, była mieszkanką jednego leśnego źródełka. Dojrzałem ją raz na dnie wody, drzemiącą cichutko w letnie południe. A kiedym ją tylko ujrzał, za chwilę stanęła przedemną i wzięła moją myśl za rękę aby jej opowiedzieć historyę trzech braci królewskich, co kiedyś w takim zamku mieszkali.

Dziwna jest historya trzech braci. Małemi jeszcze byli dziećmi, kiedy umarli im rodzice a jedyną opiekunką została siwa mądra babka, co ukochanych wnuków bardzo pieściła, ale chciała, aby z nich kiedyś dzielni ludzie wyrośli. Nieraz, kiedy królewicze byli jeszcze chłopiętami, zbierali się wszyscy trzej u kolan babki, aby posłuchać jej opowiadań o tem, co ich w przyszłości czeka. Każdy z nich zadawał jej wtedy swoje dziecinne pytania, a babka, głaszcząc ciemne główki, umiała długo i szeroko tłomaczyć to temu, to owemu wszystko, co ich ostatnio zaciekawiło. Już wtedy można było zauważyć, że dwaj starsi bracia byli od dzieci do siebie podobni zarówno z twarzy jak ze swoich upodobań, ale najmłodszy brat zupełnie się od nich odróżniał. Częściej go można było widzieć milczącym niż wesołym, lubił godzinami całemi przesiadywać na wysokiej wieży w pokoiku strażnika chorągwi królewskiej, dokąd dzieciom wolno było chodzić, aby z ust tego starego, zaufanego człowieka, usłyszeć pierwsze opowiadania o swoim kraju, co stamtąd słał się naokoło daleko, jak okiem zasięgnąć było można. Siwowłosy strażnik opowiadał pięknie i zajmująco, pokazując ręką

z okna to tę to ową stronę świata, opowiadał dawne legendy kraju, krwawe walki, a opowiadania jego zawsze kończyły się pochwałą tego sztandaru, nad którym straż do końca życia miał powierzoną. Chłopcy uważnie go słuchali, a kiedy kończył, biegli, aby w swoich dziecinnych zabawach powtarzać to, co usłyszeli. A wtedy brat najmłodszy zostawał na wieży. Stary wchodził z nim na jego prośby jeszcze wyżej, tam, gdzie na platformie wieży wiatr rozwijał i zwijał chorągiew królewską; stamtąd dziecko patrzyło długo na ziemię, co mu się u nóg rozścielała, na rzekę ginącą gdzieś za skrajem ziemi, niby żywy srebrny wąż, i na chmury biegnące po niebie, jak rumaki królewskie na swobodę wypuszczone. Chłopiec patrzył i milczał, ale wtedy jego dziecięce oczy stawały się takie piękne i mądre, że siwy strażnik tylko chwiał ukradkiem głową, nie wiedząc, czy się cieszyć temu, czy smucić.

Królewięta podrośli, a wtedy najmędrszy nauczyciel kraju zamieszkał w zamku, aby od niego dowiedzieli się rzeczy, które im później, jako królewiczom, przydadzą się w życiu. Więc dowiadywali się o szerokim świecie i o tem, co się na nim dzieje, dowiadywali się o całej ziemi, o ludziach, o ich radościach i niedolach i o tem, czego ludzie od nich chcieć będą, kiedy będą, już dorosłymi. A wtedy najmłodszy królewicz dziwił też i mądrego nauczyciela. Nikt trafniejszego odeń nie mógłby często zadać pytania, ani mieć lepszej gotowej odpowiedzi, ale mądry nauczyciel prędko przeczuł, że to dziecko będzie miało los zupełnie odmienny od braci swoich, tylko jaki to miał być los, tego nawet najmędrszy nauczyciel odgadnąć nie mógł.

Płynie rzeka, otaczająca zamek królewski, płyną obłoki po

niebie, opadają liście drzew, a królewicze rosną. Teraz to już nie dzieci, ale wysmukli młodzieńcy. Aż wreszcie pewnego dnia zakończyły się ich nauki z mądrym nauczycielem. Wtedy zawołała ich babka do siebie i pierwszy raz ujrzeli, że nie sama miała do nich mówić. Babka siedziała w sali tronowej zamku, cały dwór zebrany był naokoło, a u wejść stali wszędzie paradnie, uzbrojeni halabardziści królewscy, którzy jak jeden człowiek sprezentowali broń przed wchodzącemi braćmi. — I dowiedzieli się wtedy królewicze, że są już ludźmi dorosłymi, i aby poznać lepiej świat i samych siebie, odbędą podróż daleką, przed którą zostaną im powierzone dwa talizmany i dziwy królestwa, co od wieków dla rodziny królewskiej w skarbcu były przechowywane. Gdy królewicze dowiedzieli się o tem, babka rozkazała otworzyć wejście do skarbca królewskiego, aby tam pójść z wnukami. — Strażnicy u wejść znowu sprezentowali broń i babka, prowadząca wnuków, a za nią cały orszak, poprzedzani przez wielkiego skarbnika, udali się krętymi korytarzami zamku do skarbca. Królewicze nigdy jeszcze tam nie byli. Teraz, prowadzeni przez babkę, ujrzeli, jak po pewnym czasie paru strażników z zapalonemi pochodniami stanęło na przedzie, bo już w tej części korytarza nie było wcale okien. — Jesteśmy w wieży skarbów — powiedziała wtedy babka i kazała otworzyć szerokie drzwi w podłodze. Kręte kamienne stopnie prowadziły teraz ciągle w dół, chwilami zdawało się królewiczom, że po bokach słyszą szum płynącej wody, ale nie pytali, co to znaczy, bo wszyscy naokoło milczeli. Wreszcie zatrzymano się przed nizkiemi, żelaznemi drzwiami; wielki skarbnik zbliżył się teraz do babki i podał jej z uszanowaniem jakiś dziwny

długi klucz, który wyjął z haftowanego woreczka na piersiach. Kiedy tylko klucz znalazł się w zamku, drzwi rozsunęły się szeroko na prawo i na lewo, pachołkowie podnieśli wysoko pochodnie i bracia ujrzeli ogromną piwnicę zapełnioną niesłychanie drogocennemi rzeczami. Stały tam oparte o filary dzidy o złotych drążkach i rubinowem ostrzu, wisiały miecze wysadzane kamieniami i piętrzyły się jedne na drugich skrzynie i wory, napełnione monetami. Ale babka prowadziła ich wgłąb piwnicy, gdzie pośrodku niszy wykutej w skale, stała na podwyższeniu niewielka ciemna szkatułka.

A teraz muszę powiedzieć, co się w niej znajdowało. — Zdawien dawna w rodzinie królewskiej istniała opowieść, że jeden z jej przodków, król panujący nad małym jeszcze wówczas, ale dzielnym narodem, powiększył granice państwa własną nadludzką odwagą, a potem sprawiedliwemi rządami nad królestwem, do którego przyłączyło się wiele ościennych księstw. Granice za jego panowania dosięgły aż brzegów morskich, a całe te obszary puste przedtem i bezdrożne, pokryły się pięknemi drogami i ludnemi miastami. Opowiadano, że mądrość jego sięgała aż do rozumienia mowy wszystkich stworzeń żywych, od najlichszych aż do najpotężniejszych, że pomagały mu różne dobre duchy, bo jakiż człowiek potrafiłby jeden bez ich pomocy tyle uczynić? Grobowiec jego stał jeszcze teraz w postaci wielkiej skały na granicy u szumiących wód morza, a obok wznosiło się wspaniałe portowe miasto, słynne z zamorskiego handlu, najbogatsze w całym kraju. I razem z tą opowieścią pilnie przechowywaną dla przyszłych pokoleń w różnych mądrych księgach, w skarbcu kró-

lewskim leżały szanowane, bardziej strzeżone od złota i srebra dwa dowody jego nadludzkiej potęgi, dwa talizmany. Były to mały okręcik, i kłębek bieluchnych jak śnieg nici.

Trzeciego talizmanu oddawna w skarbcu nie było. W czasie jednej wielkiej, nieszczęśliwej wojny znikł on niepostrzeżenie z miejsca, gdzie był przechowywany. Był to klucz, za pomocą którego człowiek mógł otworzyć tajemnicze drzwi, gdzieś istniejące w świecie, drzwi, które przeszedłszy, poznawał samego siebie i nic już dla niego nie było wtedy niezrozumiałem. Od chwili zniknięcia trzeciego talizmanu, celem każdego dorastającego mężczyzny w rodzinie królewskiej było dołożyć ze swej strony starań, aby trzeci talizman został odnaleziony. Dwa pozostałe służyły wtedy do pomocy, gdyż okręt miał cudowną własność przewożenia szczęśliwie przez wszelkie wody, uciszania burzy i odszukiwania lądów, a kłębek nici prowadził zawsze najlepszą i najszczęśliwszą drogą, na którą człowiekowi samemu niezawsze łatwo natrafić.

I teraz więc dorośli bracia dostali od babki dwa talizmany, bo mieli odbyć taką samą wędrówkę, jak ich przodkowie. Z historyi wiedzieli, że klucza szukano już wiele lat. Różni królewicze poznawali, a nawet zdobywali nowe ziemie. Kraj rósł w potęgę przy sprawiedliwych rządach, ale trzeci talizman nie był jeszcze znaleziony. Może właśnie teraz to się stanie, myśleli dwaj z nich, stojąc przed otworzoną szkatułką w skarbcu. A babka jednocześnie myślała, jak obdzielić trzech braci dwoma tajemniczymi darami. Nieraz już zdarzały się podobne wypadki i zawsze były przyczyną waśni i niezgody, bo któżby chciał się zostać bez tajemniczego daru.

Ale kiedy tak chwilę myślała, powiedział nagle brat najmłodszy: — Kochana babko, tak jak i braciom moim, znaną mi jest historya trzech drogocennych talizmanów. Niestety w skarbcu dwa tylko pozostały. Nie pragnę żadnego z nich, niechaj podzielą się niemi bracia moi. Pójdziemy razem i da Bóg nic nas w drodze nie rozłączy, a dla mnie myśl o trzecim utraconym kiedyś skarbie, który postanowiłem odnaleźć, będzie najlepszą otuchą i obroną w każdej potrzebie. — Nie odpowiedziała na to babka, ale wydało jej się, że po raz pierwszy zrozumiała najmłodszego wnuka. I po chwili cały dwór wraz z nią i trzema królewiczami opuścił skarbiec, aby rozprawiać jeszcze długo i szeroko o zamierzonej niedługo podróży trzech braci i o dziwnem postanowieniu najmłodszego.

Nad krętym brzegiem wielkiego morza stoi wyniosła skała. Na ściętym jej wierzchołku pali się co noc wielka żelazna latarnia, a w dzień połyskuje nad nią lśniące jak srebro wysokie ostrze ze złotym ptakiem, obracającym się zawsze w stronę wiejącego wiatru. To grobowiec dawnego króla. Kiedy wiatr powieje, zdaleka powstają szeregami fale i biegną, przeganiając się aż do stóp skały, aby rozbić się o nią, opryskując perlistym deszczem. Zdaleka widać stąd wieże i mury wielkiego portowego miasta. Okręty rozhuśtane na falach wpływają i wypływają z portu, niektóre z nich mają purpurowe żagle i dzioby ozdobione złocistemi figurami świętych, albo postaciami, przypominającemi różne potwory morza.

Ale podejdźmy bliżej i zajrzyjmy do portu. Wysoki brzeg, obłożony ogromnemi płytami granitu, pełen jest ruchu. Kuso odziani marynarze, kupcy, przybyli zdaleka, tragarze, dźwigający

paki rzadkich towarów, wymijają się tam z nadzwyczajną zręcznością. Las masztów chwieje się w przystani. Ale między rzędami okrętów zostawiono dzisiaj szeroką wolną drogę, przez którą widać i stąd bez przeszkód dalekie morze aż do brzegów widnokręgu. U początku tej drogi przy brzegu stoi wspaniały okręt. Zręcznie zgięty jego kadłub i wysokie maszty są bielutkie jak śnieg. Półzwinięte purpurowe żagle chwieją się powoli od lekkiego wiatru, a na wysokiem wzniesieniu z tyłu, otoczonem złoconą poręczą, stoi w lśniącym pancerzu dowódca okrętu i wydaje rozkazy gromadzie postrojonych odświętnie marynarzy. To okręt królewski, który niedługo powiezie trzech braci na daleką wyprawę. Oto już słychać trąby heroldów królewskich. Odpowiadają im rogi strażników na wieżach portowych i na stojących okrętach. A po chwili z głębi wązkiej ulicy, nad którą wieże katedry wznoszą się jak biała koronka w górę, zbliża się wspaniały orszak. Dzwony biją nad nim w powietrzu wolno i donośnie, wspaniałe rumaki straży stąpają jak na paradzie, a pośrodku orszaku idą pieszo trzej bracia, otaczając babkę siwowłosą. Słońce świeci, białe mewy wzlatują nad morzem, ale twarze królewiczów są poważne i smutne; otwiera się przed nimi wielka droga przez lądy i wody, pełna niebezpieczeństw i dziwów, aby odnaleźli zatracony oddawna skarb królewski.

Niedługo potem rozległ się nad wodą huk wystrzałów. To armaty ustawione w ośmiokątnej fortecy u wejścia do portu żegnały odpływający okręt królewski. A on już tymczasem wydął swoje szkarłatne żagle i cały otoczony także dymem pożegnalnych wystrzałów oddalał się, podskakując na falach. Orszak królewski stojący na brzegu żegnał go tak długo, dopóki można było dojrzeć choć czubeczki masztów. Jeszcze dłużej widział go dzwonnik z wieży kościelnej, ale wkrótce i ten nic już nie mógł dostrzedz na lśniącej od słońca wodzie. Okręt odpłynął tak, jak codziennie odpływało stąd z portu wiele mniej pięknych okrętów, znikł na długo, a mewy uganiały się ciągle z piskiem naokoło grobowca starego króla na wybrzeżu, jakby się dziwiły, że ludzie tak długo o jego talizmanie pamiętają.

Okręt płynie po morzu, a na pokładzie stoją trzej królewicze i patrzą na szumiące wody. Zbliża się już wieczór, słońce jak czerwona kula stoi tuż nad wodą; niedługo zajdzie, czerwona droga światła leży pod niem i po niej płynie ciągle naprzód królewski okręt. Oto już jedna gwiazda pokazała się po drugiej stronie nieba, blady rożek księżyca przegląda obok niej jak zza mgły, a słońca tymczasem już niema. Poszło precz swoją drogą, świecić nad jakieś inne wody i lądy, tam może, gdzie ukryty leży trzeci talizman królestwa.

Długo płynął przez różne wody okręt niosący królewiczów. Aż jednego dnia rozciągnęła się po niebie ruda chmura; rozbiegły się od niej nad wodą gwałtowne wietrzyska aż się od nich niebo z morzem zmąciło i okręt zaczął tonąć. A wtedy mocą czarodziejską maleńki okręt królewiczów zamienił się w duży statek i choć cała załoga razem z kapitanem utonęła, on dowiózł trzech braci do jakiegoś pięknego lądu, przy którym znów się w maleńki zamienił, aby go wygodnie w ręce nieść było można. Wtedy już królewicze nie wiedzieli, w jakich są stronach, ale kłębuszek zaraz wyskoczył średniemu z ręki i zaczął się toczyć

przed nimi omijając niewygodne miejsca i prowadził ich dalej, niby przewodnik najlepszy. Więc szli królewicze za toczącym się kłębkiem, przez strony nieznane, często przez lasy, albo tak gęste zarośla, że trzeba było sobie drogę torować małymi mieczykami, co im każdemu zawiesił u boku na odjezdnem mistrz skarbnik, wybrawszy co najlepsze ze skarbca. A kłębek zatrzymywał się, gdzie były najlepsze miejsca do noclegu, obok przezroczystych źródełek, pod dębami, co jak dach gęsty osłaniały głowę przed nocną rosą. Twarze im od tej wędrówki ogorzały, nauczyli się szukać sobie sami skromnego pożywienia z przeróżnych jagód, wszędzie po lasach obficie rosnących. Aż kiedyś zdaleka ujrzeli zamek ogromny, na wyniosłej skale stojący, kręta droga wiodła do wrót zamkowych, kłębek potoczył się nią prościutko do wejścia, a tam już widać oczekiwano królewiczów, bo stary król wyszedł na ich spotkanie i wprowadził braci do wielkiej sali zamkowej.

Prędko poznali królewicze ten nowy kraj, dokąd ich kłębek zaprowadził. Ale o ich kraju nikt tutaj nie wiedział, kłębek widać nową drogą prowadził braci. Kraj był zupełnie piękny i bogaty a król miał trzy córki, prześliczne królewny. Kiedy się królewny urodziły, przepowiedziała im, co było nawet zapisane w kronikach kraju, potężna, niewiadomo skąd przybyła wróżka, że dwie znajdą sobie pięknych królewiczów i będą szczęśliwe, nad trzecią jednak z kolei zamyśliła się i nic nie rzekła. I oto teraz, kiedy przybyli trzej nieznani królewicze, ojciec król przypomniał sobie słowa wróżki. Zaczął się więc bacznie przypatrywać braciom, aby odgadnąć, którzy będą jego zięciami. I po

niedługim czasie wiedział już prawie napewno. Ale wtedy zaczął go niepokoić trzeci królewicz, bo losy najmłodszej córki nie były mu też obojętne. A najmłodszy brat niecierpliwił się tymczasem tam, gdzie jego braciom było tak dobrze. Chęć znalezienia utraconego skarbu królestwa nie pozwalała mu spokojnie zostawać na miejscu. Więc gdy stary król coraz bardziej wyraźnie myślał o małżeństwie dwu swoich córek z jego braćmi tak, że nawet troska o trzecią nie tak mu już ciążyła, młody królewicz wchodził na najwyższe wieże zamkowe jak w domu swoich ojców i patrząc na rozległy widnokrąg, gdzie ziemie i wody leżały poukładane, jak obrazki w łamigłówce, myślał coraz bardziej milczący o swojej bezczynności.

Aż pewnego dnia, kiedy wieczorem w ogrodzie zamkowym odbywała się wielka zabawa i kolorowe chińskie latarnie śmiały się malowanemi przezroczystemi twarzami do postrojonych gości, królewicz postanowił opuścić zamek. Nad wodą, gdzie o tem pomyślał, spały białe łabędzie z głowami pochowanemi pod skrzydła, a gwiazda, co się kołysała odbita u brzegu, jakby powiedziała mu w milczeniu — tak. Ale w tej chwili przypomniał sobie, że nie przyjrzał się jeszcze dobrze trzeciej królewnie, która najwięcej mu się przy poznaniu spodobała. — Zdaje się, że ona pochwaliłaby najlepiej mój zamiar odejścia — rzekł do siebie i w tej chwili usłyszał plusk na wodzie. W maleńkiej łódce, ciągnionej przez dwa czarne łabędzie, nadpływała właśnie ta, o której myślał. Ale w tej chwili zawstydził się czegoś królewicz tego, co napełniało przed chwilą jego głowę, usunął się więc w cień drzew i widział tylko, jak łódka powoli przepłynęła.

Ale zdawało mu się przytem, że dojrzał rzecz niezwykłą: królewna płakała. Księżyc, co się właśnie ukazał zza drzew, oświecił jej twarz i królewicz widział wszystko wyraźnie.

Później, kiedy już wychodził z bramy zamkowej, przypomniało mu się to dokładnie. Brama była otwarta, most zwodzony opuszczony nad wodą a strażnik drzemał u wejścia, oparty na długim mieczu. Królewicz przystanął i raz jeszcze spojrzał na zamek. Słychać było ztamtąd z ogrodów okrzyki rozbawionych gości, ale to nie zwracało jego uwagi; zdawało mu się ciągle, że słyszy płacz królewny i z tem wrażeniem odchodził coraz dalej szeroką drogą, wysadzaną wielkiemi drzewami.

Od chwili, kiedy królewicz wyszedł z zamku z postanowieniem szukania samemu skarbu utraconego, stał się on dla wszystkich ludzi zwyczajnym człowiekiem. Postanowił nie zwracać na siebie niczyjej uwagi, nie mówił, kim jest, i nawet odział się inaczej, to też ludzie mijali go zupełnie obojętnie. A królewicz, w miarę jak mijał, idąc, wsie i miasta, coraz dłużej myślał i coraz bardziej się zastanawiał nad trzecią królewną z zamku. Przypominał sobie, jaką była, starał się odgadnąć, dlaczego płakała w ów wieczór zabawy w pięknym ogrodzie. I wreszcie, kiedy tak myślał, coś zaczęło go namawiać, żeby wrócił do zamku. — Nie twoją jest rzeczą — coś mu szeptało do ucha — szukać tego, czego przez stulecia nie odnaleziono. Wszakże historya o kluczu jest już prawie legendą, pięknem opowiadaniem, zapisanem w historyi kraju. Opuściłeś braci, cóż poradzisz bez nich sam jeden. — I królewicz kiedy to słyszał, widział jednocześnie najwyraźniej zapłakaną twarz królewny. Wtedy zatrzymywał się

i oglądał za siebie. Mój Boże! ileż on drogi już przeszedł! Gdyby zamek wieżami swemi sięgał pod obłoki, jużby go pewno i tak nie dojrzał. Więc wzdychał królewicz i szedł dalej, a droga prowadziła go ciągle przed siebie. Chęć powrotu to rosła w nim, to malała, ale często nie mógł sobie z nią dać rady. Wtedy bowiem zawsze, gdy tylko głowę obrócił, widział szczęśliwych swoich braci wracających do kraju, wiózł ich wspaniały okręt, dwie królewny stały obok nich na pokładzie i dziwiły się ukazującemu zdaleka rodzinnemu miastu braci z grobowcem starego króla na wybrzeżu. To znów zdawało się królewiczowi, że z obłoków, oświetlonych słońcem na niebie tworzy się wielka brama. A wtedy przebijający się przez nią promień wyglądał niby wielki złoty klucz umieszczony tak wysoko, że go żaden żywy człowiek dosięgnąć nie może.

Aż wreszcie pewnego dnia, kiedy wydało mu się, że wszystkie przypomnienia raz go jeszcze otoczyły, aby zmusić do powrotu, dogonili go na drodze dwaj posępni jeźdźcy. Ubrani od stóp do głów w czarne zbroje, w hełmach zasłaniających twarze, zagrodzili mu oni drogę i zapytali jak długo jeszcze iść zamierza. Wtedy królewicz opowiedział im przyczynę wędrówki i zapytał, poco go zatrzymują. Na to jeden z nich zaśmiał się głośno i wyjął zza zbroi małe malowidło. — Królewna cię czeka dziś tylko jeszcze, nasze konie potrafią cię na czas dowieźć, namyślaj się prędko — powiedział przytem. I królewicz ujrzał na obrazku śliczną twarz trzeciej królewny tym razem uśmiechniętą i wesołą. Jedną rękę wyciągała przed siebie, jakby mu dawała znak do powrotu, a w drugiej trzymała tajemniczy złoty klucz, utracony

skarb królestwa. Królewicz patrzył na obrazek i coraz bardziej żałował swej drogi. Jeszcze chwila a wsiądzie na konia jednego z rycerzy. Ale wtem rozległ się wielki tętent, i ze strony przeciwnej nadjechało dwu białych wojowników. I w oczach królewicza zaczęła się walka. Gdy zdawało mu się, że zwyciężają czarni, obraz, trzymany w ręce, stawał się bardziej piękny i wyraźny, gdy biali mieli przewagę — bladł tak, że nic prawie na nim rozpoznać nie było można. Ale w pewnej chwili, gdy jeden z czarnych rycerzy zamierzył się ogromnym mieczem na swego przeciwnika, królewicz mimowoli chwycił ręką za swój mieczyk u boku i posunął się krok naprzód. I zaraz stała się rzecz niespodziana: biały rycerz strącił czarnego z konia na ziemię. Jednocześnie obraz wypadł z ręki królewicza i padając, rozprysnął się na drobne kawałki, a walczący znikli mu z oczu. Królewicz obejrzał się zdziwiony naokoło i dostrzegł rosnący niedaleko ogromny dąb, na którego nizkiej gałęzi coś mocno lśniło. To był prawdziwy, dawno zaginiony czarodziejski klucz. Królewicz zbliżył się i wziął go w rękę, a w tej chwili dostrzegł przed sobą mur, który przegradzał mu dalszą drogę i ciągnął się jakby od brzegu do brzegu ziemi, bo końca jego nigdzie dojrzeć nie było można, a w murze ciężką żelazną bramę. Więc zbliżył się i włożył w nią złoty klucz; brama się otworzyła i królewicz znalazł się po drugiej stronie muru.

Wtedy dopiero zrozumiał, co jest za brzegiem ziemi. Dojrzał tam wielką przepaść, z której co dnia podnosi się do góry słońce, a w nocy księżyc i gwiazdy, zrozumiał porządek tych wielkich świateł, a pośród cichej melodyi trudnej do powtórzenia,

jaka towarzyszyła ich ruchowi, przed oczami królewicza przesunęły się obrazy tego, co się kiedykolwiek działo już na ziemi. I zrozumiał siebie wobec tego wszystkiego, tak jak to było w historyi o kluczu powiedziane i nic już odtąd nie było dla niego niewytłomaczonem. Ale kiedy to uczuł zupełnie, podniósł się z przepaści za brzegiem ziemi lodowaty wicher i chciał go porwać z sobą, zatrzaskując z hukiem żelazną bramę, aby nie mógł między ludzi powrócić. Wiatr był przyzwyczajony, że ci ludzie, co tu wchodzili, zostawiali zawsze klucz w bramie po tamtej stronie. Królewicz jednak był przezorniejszy i wyjęty klucz trzymał w ręce i teraz szybko znalazł się znów za jego pomocą po zewnętrznej stronie muru. A kiedy zamknął z powrotem bramę, mur natychmiast znikł i królewicz ujrzał na horyzoncie wieże rodzinnego zamku i gęste lasy, pnące się za nim po wysokich górach.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

I udał się z powrotem królewicz do królewskiego domu, ale nie podzielił władzy z swoimi braćmi, ktrórzy tymczasem rzeczywiście powrócili z dwiema pięknemi królewnami. Okiem swojem, dla którego nic już odtąd nie było niezrozumiałem, dojrzał, że inne go czekają sprawy. Wszędzie na świecie, gdzie tylko spojrzał, dostrzegł walczących białych i czarnych rycerzy, a wszakże nie zauważył przytem, aby ludzie pragnęli tak, jak on w chwili stanowczej zmienić walkę, kładąc rękę na swojej broni. Walczących ludzie przeważnie nie widzieli, zajęci swojemi sprawami i tylko radość lub przerażenie, o których nie wiedzieli nawet dobrze, skąd pochodzą, odbijały im się po kolei na twarzach. Więc pożegnał się królewicz z braćmi i poszedł między ludzi, tak aby go wszyscy

uważali za zwyczajnego człowieka, poszedł pokazywać im walczących rycerzy, choć nie było wtedy nikogo, coby mu w tem dopomógł. Złoty klucz ma się rozumieć, nie wrócił do skarbca królewskiego. Wtedy kiedy mur razem z bramą znikły z oczu królewicza, zawisnął on znów zapewne na samotnym dębie u skraju ziemi, aby go kiedyś zobaczyli ci ludzie, między których młody władca poszedł opowiadać spokój i pogodę.

SPIS RZECZY.